W numerze: ANDRZEJ GRUN ***Królowie są nadzy*** ● RYSZARD BINKOWSKI ***Niech zagra kapela!*** ● HENRYK KRZEMIEŃ ***Kultura i łyk*** ● KONRAD FREJDLICH i JÓZEF H. WIŚNIEWSKI ***Granica serdeczna*** ● ***Recenzje*** ● ***Zewsząd o wszystkim*** ● ***Nowela kryminalna***

odgłosu

32 (768)
6. VIII. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

ŚRÓDMIEŚCIE WARSZAWY

WSPOMNIENIE O POWSTANIU

Dwadzieścia osiem lat temu, w skwarne sierpniowe południe, ogłoszono w Warszawie „godzinę W". Rozpoczęło się Powstanie — tragiczny i heroiczny zryw umęczonego miasta, które nigdy nie przestało być stolicą Polski. Powstanie Warszawskie — 62 dni walki i uporu. Powstanie Warszawskie — 62 noce tragedii miasta i bohaterstwa ludzi. Tylko 62 dni — aż 62 dni. W historii walczącego narodu bolesny i wielki epizod. W dwudziestą ósmą rocznicę Powstania Warszawskiego drukujemy fragment książki dokumentalnej Henryka Dintera „Patrząc na warszawską Nike", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

HENRYK DINTER

NIE MA ODWROTU

Szarak wyjrzał oknem. Żandarmi ustawili się dwuszeregiem w szpalerze. Pierwszy szereg przeglądał dokumenty i rewidował, drugi — stał z automatami gotowymi do strzału. Wychodzić musieli absolutnie wszyscy.

— Kto by usiłował ukryć się, zostanie zastrzelony! — ogłaszał krzykliwie jakiś cywil, użyty jako tłumacz.

Szarak poznał wszystkie zakamarki domu, szans na ukrycie się nie miał, jak i nie było uprzednio na ucieczkę. Rozważał jeszcze chwilę, próbował coś wymyślić. Nie, nie było innego wyjścia.

— Wola boska i skrzypce — powiedział do swych towarzyszy z tego samego pokoju. — Idziemy!

Na ulicy rozejrzał się. I tu nie było żadnych możliwości. Spod bramy Uniwersytetu, z okien pałacu Staszica, spod kościoła Świętego Krzyża i spod Komendy Policji czyhały wycelowane ciężkie ka-

Dalszy ciąg na str. 8

KAROL BADZIAK

PODPALACZE

Świat jest łatwopalny szczególnie w czasie upałów i przerażającej suszy. Dowiodły tego ostatnie dni lipca. Pożary pochłonęły sporo dobytku ludzkiego i dorobku narodowego. Straty z tego powodu są milionowe. Codziennie niestety płoną w kraju lasy, domy, zakłady produkcyjne. Od początku tego roku spłonęło w naszym województwie 47 ha lasu. W pierwszym półroczu ub. roku zdarzyło się na naszym terenie 599 pożarów, w tym roku już 741. Wzrost jak widać dość znaczny. Trudno wszystko tłumaczyć suszą i upałami. Susza nie jest żadnym źródłem ognia, obnaża tylko niedbalstwo w tej dziedzinie. Pożary te nie są biblijną klęską czy jakimś fatum lecz wynikiem lekceważenia elementarnych zasad bezpieczeństwa. Seria groźnych pożarów, które na przestrzeni ostatnich kilkunastu miesięcy dotknęły wiele zakładów pracy całego kraju też nie została spowodowana przez kismet lecz zwykłą głupotę, nieostrożność i obojętny stosunek do własności społecznej.

Leży przede mną „ocena stanu ochrony mienia społecznego przed pożarami" dokonana przez Komendę Wojewódzką Straży Pożarnych. Czytam: „Szereg groźnych pożarów powstałych na terenie województwa świadczy **o dużych** zaniedbaniach ze strony kierownictwa administracyjnego i i organów nadzoru technicznego w zakładach pracy".

Jest to surowa lecz prawdziwa ocena poparta smutnymi przykładami lekkomyślności i lekceważenia zasad bezpieczeństwa pożarowego. Szczyt beztroski osiągnęła dyrekcja „ELDOMU"w Pabianicach. Zajęto bez zezwolenia Wydziału Budownictwa i Architektury duży młyn drewniany, by urządzić tam magazyn. W magazynie tym złożono towary wartości ponad 40 milionów złotych. Dopiero interwencja i wniosek o zamknięcie magazynu zmusiły użytkowników do uporządkowania obiektu. Czasem jednak nawet i to nie pomaga. Komenda Straży Pożarnych w Zgierzu wystąpiła z wnioskiem o wydanie zakazu użytkowania budynku, w którym mieszczą się jednocześnie trzy zakłady produkcyjne, o zupełnie odmiennym charakterze produkcji. Obok braku porządku i czystości istnieją tam dodatkowo fatalne warunki dla ewakuacji pracowników w razie ewentualnego pożaru, a zagrożenie pożarowe jest tam rzeczywiście bardzo duże. Okazuje się, że lekceważenie tego zagrożenia jest jeszcze większe.

Odpowiednie zabezpieczenie przeciwpożarowe wymaga faktycznie sporo nakładów inwestycyjnych. Jeszcze częściej jednak chodzi o nakłady dobrej woli. Nie da się tego na pewno powiedzieć o owym dyrektorze, który zwrócił się do sąsiedniego zakładu o wypożyczenie gaśnic na czas kontroli. „Mogą być nie naładowane — powiedział — chodzi o to aby je można było tylko powiesić na pokaz". Nazwiska tego dyrektora nie będę wymieniał, ponieważ już dyrektorem nie jest.

Piotrkowski eksperyment

20 lipca odwiedziłem Komendę Powiatową Straży Pożarnych w Piotrkowie Tryb. Na dworze upał, temperatura powietrza równa prawie temperaturze ludzkiego ciała. Wszystkie wozy bojowe straży w pogotowiu. Ludzie też. Na szczęście w całym powiecie panuje spokój. Na szczęście, ponieważ samochód śniegowy wyposażony w butle z dwutlenkiem węgla jest

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Wojskowi eksperci radzieccy opuszczają Egipt. Wiadomość ta w świecie politycznym wywołała fale spekulacji, komentarzy, w których więcej domysłów niż faktów. Jak podaje agencja TASS — radziecki personel wojskowy zakończył rozpoczętą w 1967 r. misję, pomagając siłom zbrojnym Egiptu w szkoleniu i opanowaniu skomplikowanego sprzętu bojowego. Porozumienie to, zawarte na czas ograniczony, właśnie w wyniku uzgodnień zainteresowanych rządów, zakończyło pewien etap współpracy. Prasa kairska w licznych komentarzach, wyjaśniając motywy podjętej decyzji, przeciwdziała próbom wywoływania niepożądanych nastrojów, podkreślając, że przyjaźń i pomoc Związku Radzieckiego nadal są podstawą skutecznego przeciwdziałania agresywnej polityce Izraela.

Prezydent Egiptu Anwar Sadat w przemówieniu do studentów, odpowiadając na propozycje Goldy Meir bezpośrednich negocjacji, odrzucił je zdecydowanie. Jednocześnie prezydent stwierdził, że Egipt nie szczędził wysiłków w celu politycznego uregulowania konfliktu bliskowschodniego, wysuwał inicjatywy by doprowadzić do otwarcia kanału Sueskiego i zawarcia układu pokojowego. Jednakże popierany przez Stany Zjednoczone Izrael torpedował te wysiłki. W tej sytuacji Egipt nie zaakceptuje polityki siły, polityki faktów dokonanych i tak długo będzie odrzucać bezpośrednie negocjacje, jak długo będą okupowane jego terytoria.

Na marginesie ostatnich wydarzeń na Bliskim Wschodzie trzeba zaznaczyć, że przywódcy KP Chin (ostatnio gościnnie przyjmujący wiceprzewodniczącego CDU Gerharda Schroedera) także i przy tej okazji zademonstrowali swoje antyradzieckie stanowisko.

☆ ✲ ☆

Świat znów obiegła fala protestów (nie omijając Stanów Zjednoczonych) przeciwko bombardowaniu przez USA systemu irygacyjnego Demokratycznej Republiki Wietnamu. Wśród nich szczególną uwagę wzbudziło oświadczenie sekretarza generalnego ONZ Kurta Waldheima, który również potępił niszczenie obiektów cywilnych. Pod naciskiem opinii publicznej prezydent Nixon zmuszony był do zwołania specjalnej konferencji prasowej, podejmując nieudaną próbę zdementowania sprawdzonych przecież faktów bombardowania tam. Sam zresztą musiał pośrednio przyznać, że miały one miejsce. Atakując gwałtownie sekretarza generalnego ONZ, rzekomo wprowadzonego w błąd przez „wrogą propagandę", mając na uwadze rozpoczynającą się kampanię wyborczą, powtórzył znów stare slogany o swoich pokojowych intencjach. Mówiąc, że „najlepszym i najszybszym sposobem na przerwanie wojny są rozmowy", stwierdził następnie, że bombardowania Wietnamu północnego będą kontynuowane. Nie wykluczył przy tym atakowania z powietrza systemu irygacyjnego, jeśli „będzie to konieczne do ochrony życia lotników amerykańskich przed rakietami przeciwlotniczymi".

Opublikowane ostatnio memorandum Ministerstwa Spraw Zagranicznych DRW stwierdza, że od kwietnia 72 r. rząd USA rozpoczął nową, niezwykle poważną eskalację wojny, wydając rozkaz zaminowania i zablokowania portów, wzmagając ataki z morza i powietrza na gęsto zaludnione rejony oraz instytucje państwowe, kulturalne i szpitale, a także urządzenia nawadniające. „Operacje te — podkreśla memorandum — mają charakter ludobójstwa".

☆ ✲ ☆

W Paryżu obradowała konferencja partii komunistycznych i robotniczych Europy na rzecz solidarności z narodem wietnamskim, zwołana z inicjatywy Francuskiej Partii Komunistycznej. W ogłoszonej deklaracji przedstawiciele partii potwierdzają swe zdecydowane poparcie dla pokojowych propozycji przedstawionych przez Tymczasowy Rząd Rewolucyjny Republiki Wietnamu Południowego, zwracają uwagę na fiasko amerykańskiej polityki eskalacji agresji, próby „wietnamizacji" wojny, domagają się położenia kresu wojnie na czterostronnej konferencji paryskiej, która aktualnie wznowiła obrady. Obserwatorzy konferencji, podkreślając doniosłość tego wydarzenia, zwracają uwagę na zgłoszenie przez uczestników wielu konkretnych propozycji w celu wzmożenia akcji na rzecz walczącego narodu Wietnamu, Laosu i Kambodży. Wymowne przy tym są uwagi, że komuniści nie chcą monopolizować akcji przeciwko amerykańskiej agresji, odwołują się do wszystkich ludzi dobrej woli, a szczególnie młodzieży.

Na naradzie paryskiej nie zabrakło również głosu Polski. Podczas obrad przemówienie wygłosił sekretarz KC PZPR, Jerzy Łukaszewicz, który powiedział m. in.: „Naród Polski i nasza partia kierując się zasadami leninowskiej polityki internacjonalizmu proletariackiego, udzielały, udzielają i będą udzielać narodowi wietnamskiemu poparcia w jego słusznej i sprawiedliwej walce. Będziemy także pomagać towarzyszom wietnamskim po zwycięskiej walce w odbudowie kraju ze zniszczeń wojennych. W tej dziedzinie mamy wielkie własne doświadczenia. Jesteśmy braćmi towarzyszy wietnamskich w walce. Pozostaniemy braćmi w czasie pokoju. Jest to internacjonalistyczny obowiązek, któremu pozostaniemy wierni".

JERZY WAWRZAK

Hongkong - chińskie okno na świat

„FINANTIAL TIMES" — LONDYN

Ostatnie półrocze było w Hongkongu tak niespokojne, jak w czasach, kiedy to w 1967 roku tą kolonią korony brytyjskiej wstrząsały odgłosy wydarzeń w Chińskiej Republice Ludowej.

Dzisiejsze trudności, które przeżywa Hongkong, nie są związane z bliskością Chin. Stosunki Pekinu z brytyjskim reżimem kolonialnym u południowych granic Chin są jeśli już nie przyjazne, to w każdym bądź razie znośne. Nawet nie rozwiązane dotąd problemy wywołują wyjątkowo mało tarć. Ale jeśli o „bazie" reżimu politycznego można powiedzieć, że uległ on „stabilizacji", to absolutnie nie można tego powiedzieć o ekonomicznej „nadbudowie".

Dziewięćdziesiąt procent produkcji przemysłowej Hongkongu idzie na eksport, z tego nie mniej, niż 40 procent — do Stanów Zjednoczonych. Kroki w dziedzinie ekonomiki, które podjął Nixon we wrześniu ub. roku, głównie dodatkowe, 10-procentowe cło na import, bardzo widocznie odbiły się na ekonomice Hongkongu.

Z drugiej strony, chociaż kolonia poniosła straty wskutek wahań w handlu międzynarodowym, nie można powiedzieć, żeby ogólne bilanse były dla niej aż tak bardzo niepomyślne. Problem polega na tym, że w niektórych branżach przemysłu lekkiego Hongkong staje się niebezpiecznym konkurentem dla Japonii na rynku Stanów Zjednoczonych. A jeżeli Hongkong zostanie skreślony z listy krajów rozwijających się, którym USA oferują różne ulgi, znajdzie się od razu w gorszym położeniu od swych azjatyckich konkurentów.

Wprawdzie perspektywy eksportowe kolonii nie są najlepsze, ale ma ona również inne źródła dochodu.

Ostatnimi laty, rola Hongkongu, jako międzynarodowego centrum walutowego, wzrosła tak dalece, że nie spodziewali się tego nawet najbardziej optymistyczni bankierzy tej brytyjskiej kolonii. W końcu 1971 roku suma wpływów w tutejszych bankach wzrosła ponad dwukrotnie w porównaniu z rokiem 1967, i wyniosła około 5 miliardów dolarów amerykańskich.

Hongkong zamierza także wyciągnąć korzyści z dążenia Chin do rozszerzenia handlu z krajami Zachodu. Do kolonii przybyło już mnóstwo amerykańskich biznesmanów, którzy przygotowują grunt do handlu z Pekinem. Miejscowi finansiści liczą na to, że już niedługo Hongkong zacznie odgrywać ważną rolę punktu przeładunkowego i „izby handlowej" w bezpośrednim handlu między USA i Chinami.

Wszystko to może zwiększyć wpływy Hongkongu w Południowo Wschodniej Azji i spowodować wielki napływ kapitałów, ale w żaden sposób nie rozwiąże problemów polityki wewnętrznej. Od początku lat siedemdziesiątych w kolonii zaostrzają się problemy w dziedzinie oświaty i nauki, budownictwa mieszkaniowego, usług, zaopatrzenia w wodę.

Ktoś, kto nie zna wyższych sfer hierarchii Hongkongu może odnieść wrażenie, że, ukryty za drzwiami licznych resortów administracji, funkcjonuje gigantyczny mózg, opracowujący skomplikowany plan strategiczny, którego celem jest przygotowanie środków zaradczych, gdy Chiny zażądają zwrotu Hongkongu (termin dzierżawy upływa w 1999 roku). Nic podobnego. Rządowi w Pekinie po prostu podsuwa się myśl: nie śpieszcie się, im dłużej będziecie czekać, tym lepszy kąsek wpadnie wam w ręce, wcześniej czy później. Administracja Hongkongu mocno popiera tę kampanię kuszenia Chin.

Liczni obserwatorzy sądzą, że nowa dyplomacja Pekinu nie pociągnie za sobą znaczniejszego zwiększenia jego handlu zagranicznego. Jednakże konieczność rozwoju przemysłu i trudności aprowizacyjne otworzą rynek chiński dla zagranicznej techniki, maszyn, a także pszenicy i innych produktów żywnościowych.

Jeśli chodzi o Hongkong, to ma on podstawy, by liczyć na zwiększenie importu z Chin oraz na to, że Pekin zechce zająć pozycję głównego dostawcy towarów do kolonii.

W ostatnich czasach, zmiany w polityce zagranicznej Chińskiej Republiki Ludowej nasuwają pewne przypuszczenia odnośnie przyszłości kolonii.

Hongkong był zawsze chińskim oknem na świat. Pośredniczył w kontaktach Pekinu z Chińczykami za granicą, był znakomitym miejscem do zawierania umów handlowych z krajami nie uznającymi Chińskiej Republiki Ludowej, centrum operacji bankowych i ubezpieczeniowych, a także punktem przeładunkowym, zabezpieczającym dostęp do krajów strefy szterlingowej. Gdzieniegdzie zaczęto się już obawiać, że wiele z tych mechanizmów Hongkongu przestanie działać po przyjęciu ChRL do ONZ i nawiązaniu bezpośrednich kontaktów dyplomatycznych między Chinami i krajami zachodnimi.

Teoretycznie, tak. Pekin może dojść do wniosku, że jest w stanie obejść się bez Hongkongu. Usuwając Anglików, Pekin mógł zyskać wspaniały port, nowoczesne przedsiębiorstwa przemysłowe i uwolnić się od skrępowania, które odczuwa, mając pod bokiem reżim kolonialny.

Jednakże, traktując sprawę szerzej, niezależnie od dyplomatycznego uznania ChRL przez szereg krajów, korzyści, jakie ciągnie Pekin z istnienia kolonii, są stale ogromne.

Oceniając przyszłość tej brytyjskiej kolonii, nie można ograniczać się wyłącznie do analizy problemów ekonomicznych. Cztery miliony Chińczyków zamieszkałych w Hongkongu, z których większość — według terminologii Pekinu — to „element burżuazyjno-kapitalistyczny", są dla reżimu pekińskiego ciężkostrawnym kęsem.

Świadectwem tolerancji Pekinu wobec kolonialnego reżimu w Hongkongu mogą być zapewnienia Czou En-laia, niejednokrotnie powtarzane podczas częstych spotkań z oficjalnymi osobistościami brytyjskimi, przebywającymi w ChRL.

Czou En-lai oświadczył, że chociaż status Hongkongu jest obwarowany „niesprawiedliwymi umowami", które siłą narzucono Chinom, i chociaż dotąd Pekin formalnie nie uznaje administracji w Hongkongu, to jednak problemy tej kolonii znajdą się na porządku dziennym dopiero po uregulowaniu bolesnej dla Chin sprawy „wyzwolenia Tajwanu".

Pekin, nie przestając rozdzielać uśmiechów na prawo i na lewo, stwarza jednak temu miastu liczne problemy. I tak, na przykład, miejscowa administracja ma pełne ręce roboty z ustaleniem sprawców pożaru w pływającej restauracji, w którym zginęły 34 osoby, katastrofy statku „Queen Elisabeth", w wyniku której spoczywa on teraz na dnie portu w Hongkongu, wybuchu bomby w nowo wybudowanym tunelu portowym i in. Policja skłonna jest przyjąć wersję, że pożary i wybuchy w Hongkongu są dziełem rąk terrorystów z grupy tzw. „Latających smoków", która popiera reżim na Tajwanie i próbuje tymi akcjami dywersyjnymi skompromitować propekińsko nastrojonych ekstremistów w Hongkongu. Od czasu do czasu wyławia się tutaj tajwańskich agentów, odkrywa tajne składy z bronią i zaopatrzeniem. W przypuszczeniu, że grupy agresywnie nastrojonych nacjonalistów chińskich chcą sparaliżować normalne życie w Hongkongu, by „ukarać" w ten sposób Anglików za ich politykę w kwestii chińskiej, nie ma nic fantastycznego.

Handlowy dialog

„RIESSENER INFORMATIONEN" — HAMBURG

Handel Niemiec Zachodnich ze Związkiem Radzieckim stanowi obecnie jeden procent całego handlu zagranicznego Republiki Federalnej. Rozwój kontaktów handlowych odbywa się zarówno w sferze importu, jak i eksportu, jednakże teraz NRF jest zainteresowana zwiększeniem importu ze Związku Radzieckiego. Dotąd nie wykorzystywano wielu możliwości wwozu towarów radzieckich, produkowanych na poziomie standardów światowych. Republika Federalna dokonuje wprawdzie szerokiej wymiany towarowej z krajami zachodniej Europy, ale przejawia wciąż rosnące zainteresowanie importem towarów ze wschodniej Europy, a przede wszystkim ze Związku Radzieckiego.

Dziś można już mówić o wzroście korzyści wszystkich zachodnich kół handlowych, płynących z rozwoju ekonomicznych kontaktów ze Wschodem. W Związku Radzieckim, w bardzo szybkim tempie, rozwija się przemysł maszynowy, narzędziowy i elektroniczny. Zachód ma więc wszelkie szanse na kupno tych wyrobów w ZSRR. Niestety, na razie nie sprecyzowano jeszcze obustronnych możliwości, ale prace, zmierzające do usunięcia tych mankamentów są w toku. Sprzyja temu powołanie wspólnej zachodnio-niemiecko-radzieckiej komisji ekonomicznej. Przed handlem między Związkiem Radzieckim i Republiką Federalną otwierają się szerokie perspektywy, oparte na zasadach wzajemnych korzyści. Nie wyklucza się realizacji długoterminowych wspólnych projektów na wzór tych, w jakich uczestniczą Włosi w radzieckich zakładach samochodowych w Togliatti.

Jednocześnie należy podkreślić, że pomyślny rozwój handlu wymaga dalszego polepszenia klimatu politycznego w Europie.

Obie strony są zainteresowane, żeby stale zwiększać import towarów radzieckich do Republiki Federalnej. Przemysł zachodnioniemiecki widzi w tym przede wszystkim zwiększenie swoich możliwości konkurencyjnych. Natomiast Związek Radziecki, dzięki zwiększeniu swego eksportu, stworzy sobie możliwości dla dokonania potrzebnych zakupów na rynku NRF.

Wschód może nam zaoferować nie tylko surowce. Związek Radziecki zajmuje wiodącą pozycję w wielu dyscyplinach nauki. Zachodnia Europa, na przykład, pozostaje dużo w tyle w dziedzinie podstawowych badań teoretycznych z powodu niedostatecznych inwestycji w tym sektorze gospodarki. Związek Radziecki jest w stanie zaproponować Zachodowi przeróżne licencje na wynalazki i odkrycia w dziedzinie nauki i techniki. W sferze współpracy ekonomicznej nie ma nieprzezwyciężonych przeszkód.

Udział Związku Radzieckiego w handlu światowym wynosi ogółem zaledwie 4 procent, wskutek chłonności ogromnego rynku wewnętrznego. Dlatego też związki ZSRR z Zachodem stwarzają nadzwyczajne perspektywy i kryją w sobie kolosalne możliwości dla współpracy ekonomicznej. Przede wszystkim dotyczy to eksportu maszyn i surowców, wspólnej budowy elektrowni, wspólnych poszukiwań złóż gazu ziemnego oraz wielu innych form współpracy.

Duże znaczenie mają wspólne akcje: badania głębin oceanów, pokojowe wykorzystanie przestrzeni kosmicznej, działanie w zakresie ochrony naturalnego środowiska człowieka, walka z chorobami infekcyjnymi, rozwiązywanie wielu innych problemów Europy. Już teraz można powiedzieć, że współpraca między Wschodem i Zachodem staje się coraz bardziej nieodzowna.

Pałac Kultury i Nauki w Warszawie.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

praktycznie bezużyteczny. Już dwa tygodnie trwają starania o nabicie tych butli lecz nie ma gdzie i nie ma kto to uczynić. Poza tym brak części do samochodów zwłaszcza brak chłodnic i akumulatorów. Niedawno wóz strażacki jechał do pożaru z zepsutą chłodnicą. W ogóle cały sprzęt przeciwpożarowy — według opinii oficerów pożarnictwa — znajduje się w bardzo kiepskim stanie. Nie ma także ludzi do pracy w straży zawodowej. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja w straży ochotniczej. Z roku na rok maleje napływ młodzieży do OSP. Widocznie rzecz jest za mało atrakcyjna.

Zastępca komendanta por. poż. Edward Konieczny stwierdza, że w tej sytuacji postanowiono w Piotrkowie Tryb. położyć większy nacisk na profilaktykę, ochronę i kontrolę. Straż i tak zwykle przyjeżdża do pożaru za późno. Chodzi więc o to, żeby zjawiać się w danym miejscu jeszcze przed pożarem. Dotychczas kontrole przeciwpożarowe we wsi przeprowadzały tzw. zespoły kontrolne. Była to w zasadzie jeszcze jedna fikcja w naszym życiu. Każdego roku na wiosnę zbierał się czynnik społeczny i kum z kumem chodził od chałupy do chałupy załatwiając sprawy po kumotersku. W powiecie piotrkowskim postanowiono zrezygnować z tego typu kontroli, wprowadzić natomiast kontrolę całoroczną i przeprowadzaną przez wykwalifikowanych pracowników straży. Cała akcja zyskała dzięki temu wyższą rangę i ma charakter poważniejszy i skuteczniejszy, aczkolwiek może niezgodna jest z przepisami. Zgodna za to ze zdrowym rozsądkiem. Ażeby się jakoś zaasekurować nazwano ją eksperymentem piotrkowskim.

W bieżącym roku skontrolowano w ten sposób już 2098 gospodarstw w powiecie i wymierzono 271 mandatów. Zakłady produkcyjne otrzymały 10 mandatów. Ukarano między innymi „SIGMATEX", Zbiornicę Surowców Wtórnych i CPN. W dziewięciu wypadkach wystąpiono z wnioskiem o likwidację budynków magazynowych. Dotyczy to szczególnie magazynów „ARGEDU". Na dobrą sprawę wszystkie magazyny tego przedsiębiorstwa nadają się do likwidacji, żaden z nich nie spełnia bowiem podstawowych wymogów bezpieczeństwa. Tymczasem przedsiębiorstwo to ma taką obfitość dóbr wszelakich, iż nie ma ich rzeczywiście gdzie magazynować.

Beztrosko podchodzą również do omawianego problemu rolnicy. W zagrodach bardzo często brak podręcznego sprzętu przeciwpożarowego, uszkodzone są instalacje odgromowe, notoryczny bałagan na podwórkach, popękane przewody kominowe i materiały palne przechowywane w drewnianych komorach — oto grzechy główne jakie najczęściej występują na wsi. Założono, że chłopi nie potrafią w ogóle naprawiać bezpieczników. I stąd właśnie w wielu wypadkach przyczyną pożarów są tzw. krótkie zwarcia. W bogatej kolekcji bezpieczników, które straż pożarna znalazła w budynkach wiejskich znajduje się nawet pilnik.

Strażak podpalaczem

Czas uzasadnić tytuł niniejszego artykułu: „Podpalacze" — to brzmi prawie jak

PODPALACZE

pojęcie polityczne. Z kolei niedbalstwo, lekkomyślność, lekceważenie, nieprzestrzeganie przepisów, (co jak co, ale przepisy to my mamy najlepsze na świecie) to strefa abstrakcji. Ponieważ zaś w cuda nie wierzymy i nie ma dymu bez ognia, a ognia bez człowieka więc warto sobie zadać pytanie, jak pod względem personalnym sytuacja wygląda. Otóż w tej dziedzinie ściganie winnych jest najtrudniejsze. Dowody zwykle spłonęły. Generalnie można powiedzieć, że większość pożarów powodują pijacy. Teraz właśnie spośród nich rekrutują się najgroźniejsi podpalacze. Czy zdarzają się wypadki celowego wzniecania pożarów? Na to pytanie należy niestety odpowiedzieć twierdząco.

Wiele pożarów na wsiach powodują ostatnio specjalnie sami właściciele. Dotychczas właściciel otrzymywał 80 procent wartości spalonego obiektu. Obecnie PZU wypłaca odszkodowanie w 100 procentach. Straż jest tym zaniepokojona, spodziewa się, że nieuczciwi ludzie będą czynić nadużycia. Droga do nowego budynku może prowadzić często przez podpalenie starego domostwa. Tak jak sprawdzono statystycznie, że najwięcej kradzieży zdarza się wśród ludzi ubezpieczonych od włamania. No cóż, proces przerabiania zjadaczy chleba w aniołów jeszcze się był nie skończył.

Kim są podpalacze? Najgroźniejszym podpalaczem na terenie naszego województwa okazał się Jan Zygmunt Szary z Warty. Aktywista OSP, kinooperator z zawodu, lat 20. Podpalił 9 stodół, powodując 400 tys. złotych strat. Działał od grudnia 1970 roku do kwietnia 1971 roku. Psychiatrzy nie stwierdzili u niego żadnych odchyleń od normy, a więc nie żaden piroman lecz normalny młody człowiek, który na 600-lecie miasta zobowiązał się zniszczyć wszystkie słomiane strzechy w Warcie. Blady strach padł wówczas na mieszkańców. Zaangażowano kilku strażaków do pilnowania drewnianych budowli, dziesiątki funkcjonariuszy milicji czatowało całymi nocami na podpalacza. Skończyło się jak w „Kobrze". Ostatnią stodołę Jan Zygmunt Szary polał farbą olejną. Żeby się lepiej paliła. Kilka kropel tej farby padło na ubranie i to go zgubiło. Milicja postanowiła bowiem przejrzeć garnitury wszystkich mężczyzn w miasteczku. Sąd skazał podpalacza na 7 lat pozbawienia wolności. To zamiast Złotego Krzyża Zasługi, do którego był typowany za aktywny udział w gaszeniu pożarów.

W powiecie sieradzkim schwytano w ostatnim czasie sporo podpalaczy. Do nich należy m. in. Stanisław Kikowski ze wsi Słomków, podpalił trzy zabudowania. Został zatrzymany przy pożarze. Podpalał z zemsty. Przedtem zapowiadał. Istnieje podejrzenie, że cała wieś wiedziała kim jest podpalacz.

17 czerwca Wacław Jędrzejczyk ze wsi Stolec podpalił własną stodołę. Miała się w niej podobno znajdować żona z kochankiem. Kiedy jednak okazało się, że żona znajdowała się hen za stodołą, właściciel bardzo żałował swego czynu.

W tymże samym sieradzkim powiecie chłopak podpalił stodołę tylko dlatego, że matka odmówiła mu kilku złotych na zabawę. Natomiast we wsi Szczawno dziwnym trafem płonęły budynki w trakcie komasacji gruntów. Komasacja się skończyła, a z nią również i pożary. We wsi Sarny w czasie starań o lokalizację przystanku autobusowego PKS spłonęły cztery gospodarstwa. Sarny to wieś długa i każdy gospodarz chciał ażeby przystanek znajdował się obok jego zagrody. Albowiem były z tym niejakie trudności — miejscowi chłopi rozwiązywali je za pomocą ognia.

Sieradzkie w ogóle obfituje w oryginalne konflikty i osobliwe pożary. Do lipca br. było w powiecie 48 pożarów, w tym 21 podpaleń dokonały osoby dorosłe pod wpływem alkoholu. Dwukrotnie usiłowano również podpalić baraki SIRY. W przeciwieństwie do wsi sprawcy groźnych pożarów w mieście rzadko kiedy bywają ujęci. Bo też rzadziej mamy tu do czynienia z premedytacją, częściej z bezmyślnością. Tak właśnie było w żychlińskim „Emicie", gdzie spłonęły w tym roku dwie szafy z dokumentacją techniczną. Przyczyna pożaru bardzo prozaiczna. Po prostu włączono i pozostawiono bez dozoru kuchenkę elektryczną ustawioną na drewnianej szafce. W czasie kontroli zlikwidowano na terenie całego zakładu 50 grzejników i kuchenek elektrycznych. W gruncie rzeczy najwięcej pożarów w biurach, urzędach i zakładach pracy powodują wadliwe instalacje elektryczne.

Do najbardziej zaniedbanych zakładów pod względem bezpieczeństwa pożarowego należy w naszym województwie chyba piotrkowski „Sigmatex". W zakładzie tym nawet samochód straży pożarnej wartości 200 tys. zł jest niezabezpieczony przed pożarem. Na drugim miejscu wymienić można łęczycką „Watinę". Od dwóch lat w magazynie szarparni przechowywano jako depozyt urządzenia klimatyzacyjno-wentylacyjne wartości 8 milionów zł. Urządzenia te przechowywane razem z łatwopalnym surowcem tarasują przejścia i są narażone na zniszczenie w razie pożaru. Także magazyn PZGS w Rawie Maz. wypełniony jest ponad wszelki rozsądek meblami wartości 3 milionów zł. Do magazynu przylega skład opakowań, a w odległości 10 m przebiega tor, na którym dokonuje się rozładunku węgla. Dyrekcja PZGS wielokrotnie upominana przez straż bagatelizuje wszelkie ostrzeżenia. Analogicznie przedstawiała się sytuacja w Fabryce Lakierów w Chociwiu, gdzie notorycznie ignorowano wszelkie zarządzenia dotyczące bezpieczeństwa ppoż. Dopiero gdy przewodniczący Prezydium WRN polecił wstrzymać produkcję w tym zakładzie natychmiast przystąpiono do generalnego uporządkowania terenu i zabezpieczenia zakładu przed pożarem.

Z ogniem żartów nie ma. W ubiegłym roku tylko w samych obiektach gospodarki uspołecznionej powstało ogółem na terenie województwa 305 pożarów. Największe straty przyniósł pożar Zakładów „Komuny Paryskiej" w Radomsku. W tym półroczu ogień pochłonął w naszym województwie ponad 22 miliony zł. Dlatego też wszyscy zobowiązani jesteśmy zapobiegać pożarom. Szkoda tylko, że praca straży została tak zbiurokratyzowana.

Oficerowie pożarnictwa twierdzą, że ich praca jest nie tylko najbardziej niebezpieczna ale i najbardziej dotknięta klęską biurokracji. Z pożarami jednak o wiele łatwiej walczyć niż z groźnym żywiołem papierkomanii. Od komendantów powiatowych żąda się ciągle dziesiątki różnych sprawozdań, nie mają oni więc w ogóle czasu na wyjazdy w teren, muszą ślęczeć przy biurkach. Chcieliby również, ażeby pracowników straży pożarnych dostrzegano nie tylko przy pożarze. Miejmy nadzieję, że odpowiednie czynniki w większym stopniu niż dotychczas docenią rangę tego wspaniałego skądinąd zawodu.

KAROL BADZIAK

HENRYK KRZEMIEŃ

Sztuka i łyk

czyli słów kilka o sprawach kultury

Trudno to opisać, lecz chyba wiele osób pamięta rysunek Cypriana Kamila Norwida — zatytułowany „Sztuka i łyk". Ten symboliczny rysunek miał być wyrazem potępienia stosunku bogatego, dziewiętnastowiecznego mieszczaństwa do sztuki. Przedstawiał on brzuchatego, starszawego mężczyznę oganiającego się, jak od much, od postaci chuderlawej i desperackiej — symbolizującej sztukę.

To skojarzenie przyszło mi na myśl, choć może nie jest ono adekwatne do dzisiejszej sytuacji, gdy rozważamy stosunek do spraw kultury. Felietoniście wolno przesadzać, dla osiągnięcia określonych celów, lecz fakty, które mamy zamiar przytoczyć nie zostaną opisane przesadnie.

Żyje sobie i mieszka w Krośniewicach koło Kutna zasłużony i skrzętny zbieracz wszelakich starożytności, znany dziś powszechnie w kraju, a i poza jego granicami, Jerzy Dunin-Borkowski. Ten popularny pan, znany pod miłym przezwiskiem Pigularza z Krośniewic, mieszka w skromnym pomieszczeniu, wydzielonym zresztą z domu rodowego i tłamsi w niesamowitym stłoczeniu najcenniejsze pamiątki. Czegóż tam nie zgromadził? Znajdujemy tu starą, przedhistoryczną broń Słowian, miecze, koncerze, karabele, pistolety, topory, halabardy. A obok tego, na ścianach, widać portrety słynnych postaci wykonane przez nie lada jakich mistrzów. Znajdujemy piękne zbiory porcelany saskiej, obok rzeźb, kompletów różnego rodzaju zastaw i innych przedmiotów, dających świadectwo wspaniałej przeszłości kraju. Ba, na podłodze, pod gablotami, złożył zbieracz komplety różnych mundurów i insygniów wojskowych. Sąsiaduje to z przepięknymi trofeami myśliwskimi, cenną grafiką. Znajdziemy w pokoiku także zabytkowe meble. Oko przyciągają przepiękne zbiory orderów i numizmatyków. Boże drogi, toć dałoby się z tego stworzyć piękne muzeum. A przy muzeum można by otworzyć wcale bogatą bibliotekę, zawierającą duży zbiór rękopisów i pamiątek narodowego piśmiennictwa. Z tych zbiorów korzystali zresztą niejednokrotnie naukowcy. Znaczna ich część powędrowała do Łazienek. Zbiory krośniewickie zostały wzbogacone przez prace licznych artystów współczesnych, zaś wpisów słynnych ludzi do ksiąg pamiątkowych zbieracza mogłoby pozazdrościć mu niejedno muzeum. Przyjeżdżają tu bowiem sławy krajowe — naukowcy, artyści, wybitni działacze społeczni. Bywają i goście zagraniczni. Obok wpisów angielskich, rosyjskich, amerykańskich, francuskich, włoskich znajdziemy także, trudne do odczytania, wpisy bywalców z krajów egzotycznych. Można by więc rzec, iż zbieracz znalazł za swój trud uznanie w świecie i winien być w pełni usatysfakcjonowany.

I byłby usatysfakcjonowany, gdyby nie małe ale. Okazuje się, że najtrudniej być prorokiem we własnym... powiecie. Otóż Jerzy Dunin-Borkowski, który dawno postanowił zbiory swe przekazać państwu, przez kilkanaście lat ubiegał się na próżno o przydział dodatkowych dwu pokoików. Przedstawiciele władz obiecywali mu wiele, ale rzecz kończyła się na obietnicach. Znalazł więc nasz zbieracz uznanie w Warszawie, gdzie po przejściu na emeryturę otrzyma odpowiednie locum na pomieszczenie zbiorów muzealnych, którego nie znalazł na miejscu. Propozycja przewiezienia zbiorów do Kutna, gdzie sugerowano mu wydzielenie salki w miejscowym PDK przyszła, nie tylko zbyt późno, lecz wydała się wręcz niepoważna. A szkoda, wypadnie nam żałować, że w dobie rozwijającej się turystyki i rozszerzania międzynarodowych kontaktów kulturalnych zbiory trzeba będzie z Krośniewic wywozić. Pozostawienie ich na miejscu miałoby znaczenie nie tylko kulturowe, podniosłoby również walory turystyczne tego miasteczka na ruchliwych szlakach. Niedocenione odpowiednio, w odpowiednim czasie, przez chyba nieodpowiednich ludzi.

Kierownictwu łęczyckiego Powiatowego Domu Kultury zaproponowano rok temu urządzenie sali wystawowej współczesnego malarstwa. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, jak wielkie miałoby to znaczenie dla podniesienia poziomu kultury plastycznej tego regionu. Pomoc materialną i organizacyjną zaproponowały: Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Łodzi, Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i „Ziemia Łęczycka". Wybrano więc odpowiednią na ten cel salkę, obliczono koszty remontu i adaptacji sali, próbowano nawet ustalić wstępnie datę pierwszej wystawy. Znalazł się również ceniony i znany malarz, który chciał wystawić w Łęczycy swoje prace. Miał być opracowany katalog. Ekspozycje proponowano też przenosić do mniejszych sal wystawowych w regionie, by upowszechniać w ten sposób kulturę plastyczną w Łęczyckiem. I okazało się nagle, że pomysłu nie można zrealizować. Na przeszkodzie w remontowaniu sali stanęli... wojskowi. W łęczyckim Powiatowym Domu Kultury odbywają się bowiem, w ciągu roku, dwukrotnie komisje poborowe. Wojskowi, którzy okupują wiele pomieszczeń PDK w ciągu czterech miesięcy w roku, nie chcieli zrezygnować z salki wystawowej. Nie dopuścili też do wyremontowania jej, choć mieli do dyspozycji wiele innych pomieszczeń. Mało tego, wykonując swe obowiązki w gmachu PDK na zasadzie gości — powołali się na odpowiednią uchwałę, podjętą przez Wojewódzką Radę Narodową przed laty i na tym skończyła się dyskusja. Upadły w ten sposób wszelakie projekty. Nie znalazł się ani jeden człowiek, który by stanął w obronie tej inicjatywy. Lokalne władze również nie postarały się o znalezienie pomieszczenia zastępczego dla komisji poborowej, która — wiadomo — musi działać, spełniając ważną funkcję społeczną w tak istotnej dziedzinie, jak obrona kraju. Czyżby więc trzeba czekać na jeszcze lepsze czasy dla kultury. Jak długo?

Mówi się powszechnie, że ranga kultury w województwie łódzkim winna być równie wysoka i ważna, jak w samej Łodzi. I godząc się z tym należy dokładać wszelkich starań, by doprowadzić istotnie do tego stanu rzeczy. Jednakże cel można osiągnąć wówczas, gdy rola i ranga kultury zostaną właściwie docenione. Tymczasem można by mnożyć przykłady niedoceniania, czy wręcz lekceważenia, spraw kultury na terenie woj. łódzkiego w nie tak znów odległej przeszłości. Wystarczy przeanalizować budżety bibliotek, i to nawet tych na szczeblu powiatowym. Wystarczy się przyjrzeć, ile razy odkładano projekty budowy różnych obiektów kulturalnych, gdyż na wykonanie tych prac zawsze brakowało „mocy przerobowych". A przecież zaniedbania w tak ważnej dziedzinie życia społecznego, jak kultura, przynoszą skutki ujemne społecznie, trudne do odrobienia.

Patrząc na piękny rysunek Cypriana Kamila Norwida, nie dziwmy się, że daje on asumpt do niezbyt miłych skojarzeń teraz, dzisiaj, WSPÓŁCZEŚNIE.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

(II)

Wokół egzaminów na wyższe uczelnie

Ostateczne wyniki egzaminów na wyższe uczelnie nie stanowią już tajemnicy, lecz nadal są tematem plotek. Tegoroczny przebieg akcji rekrutacyjnej jest nader znamienny, zmusza do refleksji nie tylko zawiedzionych, ale również i władze oświatowe, i władze państwowe.

Pomimo tylu reform i zmian coś nie gra w ogólnym systemie szkolnym. Dalsze środki zaradcze są więc konieczne, a kwitowanie zagadnienia określeniem „sito (matury) i brzytwa (komisje uczelniane)" jest tylko tanim uproszczeniem poważnego zagadnienia.

W tegorocznej kampanii o indeksy wyraźnie zarysowały się dyscypliny cieszące się popularnością i dyscypliny deficytowe, potrzebne gospodarce państwowej, lecz nie wzbudzające szerszego zainteresowania młodzieży.

Może zawiniła w tym także i szkoła średnia, która nie potrafiła wzbudzić szerszego zaciekawienia matematyką, fizyką, chemią, nawet biologią — naukami, które przecież zmieniają w zawrotnym tempie warunki naszego życia. Natomiast potrafiła podnieść na wyższy poziom dyscypliny humanistyczne.

Egzaminy z historii, literatury, wiadomości o świecie współczesnym, geografii, jeśli chodzi o aktualnych maturzystów, wypadły lepiej niż w latach ubiegłych, natomiast wiadomości z zakresu nauk ścisłych raczej przyniosły zawód.

Okazało się, że mamy wśród kandydatów sporą nadwyżkę młodzieży, która jest przygotowana do studiowania prawa, historii, psychologii, natomiast brak nam narybku na matematykę, fizykę, chemię i niektóre specjalności techniczne.

Egzamin konkursowy na wielu kierunkach zamieniał się w egzamin sprawdzający minimum wiadomości koniecznych do rozpoczęcia studiów wyższych, zaś uzyskanie stopni dostatecznych już gwarantowało otrzymanie jesienią upragnionego indeksu.

Jako przykład względnego konkursu podam wyniki egzaminów na Wydział Filozoficzno-Historyczny UŁ. Przy bardzo małej ilości zgłoszeń na archeologię i etnografię, wszyscy którzy egzamin zdali zostali przyjęci. Natomiast na historii prawie połowa kandydatów, którzy zgodnie z orzeczeniem komisji, nadają się na studia wyższe, nie może być przyjęta z braku miejsc.

Odrębny rozdział stanowią uruchomione w br. studia psychologii na UŁ, gdzie napływ kandydatów prawie dziewięciokrotnie przekraczał liczbę miejsc. Zainteresowani wiedzieli o tym, że współzawodnictwo będzie silne. Mimo to, przeszło połowa kandydatów po prostu egzaminu nie zdała. Wykazała nieprzydatność do studiów wyższych, wyniosła wielkie rozczarowanie, obwiniając, rzecz jasna, wszystkich innych, oprócz siebie.

Okazało się, że mimo nadwyżki kandydatów, limity miejsc na kierunkach matematyczno-przyrodniczych UŁ, ba, nawet na ekonomii, gdzie przedmiotem egzaminu była matematyka, nie zostały wypełnione.

Rozpocznie się więc gwałtowne przekwalifikowywanie się części kandydatów, którzy we wrześniu będą próbowali dostać się na kierunki, gdzie pozostały jeszcze wolne miejsca.

Trzeba zdementować stanowczo plotkę, szerzoną właśnie przez tych, którzy egzaminu nie złożyli, że wymagania komisji w szkołach wyższych wykraczają poza program realizowany w szkołach. Pytania egzaminacyjne zostały przedłożone do wglądu szkolnym ośrodkom metodycznym. Przedstawiciele kuratorium wnieśli poprawki, doprowadzili do wykreślenia pytań uznanych jako zbyt trudne. Egzamin ustny był dostosowany do możliwości przeciętnego, właśnie przeciętnego, a nie specjalnie uzdolnionego kandydata.

W skład komisji wchodził przedstawiciel Kuratorium i miał prawo interweniowania w wypadkach wykraczania poza program. Szkoda, że Kuratorium nie wykorzystało swoich uprawnień i nie wysłało delegatów do wszystkich komisji.

Ogólne wrażenie, choć może niezbyt precyzyjne, sprowadza się do tego, że tegoroczni maturzyści z zakresu przedmiotów humanistycznych byli lepiej przygotowani niż w latach ubiegłych. Błędy ortograficzne w wypracowaniach spotykało się rzadko i dotyczyły raczej niuansów polskiej pisowni.

Większość kandydatów wykazywała opanowanie i zadowalającą umiejętność kojarzenia faktów, przy równocześnie nader ubogiej ich interpretacji. Podkreślam, że uwagi te dotyczą absolwentów liceów ogólnokształcących, a nie techników i liceów zawodowych.

Również linia podziału na odpowiedzi dobre, zadowalające i niedostateczne przebiegała nie według pochodzenia kandydata, a raczej liceum, którego był absolwentem. Na ogół abiturienci liceów położonych w małych ośrodkach prowincjonalnych byli przygotowani gorzej, aniżeli ich koleżanki i koledzy z Łodzi, Piotrkowa Trybunalskiego, Zgierza, Kalisza.

Stąd następny wniosek dla władz oświatowych — należy większą opieką otaczać szkoły na tzw. „głębokiej prowincji", lepiej wyposażyć je w pomoce naukowe, a nad kadrą nauczycielską roztoczyć większą opiekę ośrodków metodycznych.

W nowym liceum uległy zmianom programy i to przede wszystkim w zakresie przedmiotów matematyczno-przyrodniczych. Członkowie Komisji, z którymi miałem możność rozmawiać, twierdzą zgodnie, że młodzież niedostatecznie zna materiał nowo wprowadzony, że realizacja nowego programu nawet z biologii nie odbiegała praktycznie od programu dawnego.

Nasuwa się niepokojące pytanie: czy i w jakim stopniu nauczyciele tych przedmiotów są przygotowani do przekazania młodzieży i to w sposób interesujący wprowadzonych „nowinek", które odzwierciedlają jakże szybki rozwój nauk „ścisłych".

Nowy program matematyki, fizyki i chemii nawiązuje do kontynuacji tych przedmiotów w szkołach wyższych, a tymczasem w wiadomościach sporej grupy maturzystów istnieje luka.

Wiele uwag krytycznych dotyczy samego sposobu przeprowadzania egzaminów na wyższe uczelnie. Jest to właściwie powtórzenie matury przed gronem osób całkowicie nieznanych kandydatowi.

Co prawda instrukcje resortu zalecają przeprowadzanie z kandydatem rozmów indywidualnych, by zorientować się w jego osobowości. Lecz w warunkach przemęczenia członków komisji zalecenie to pozostaje zbyt często na papierze, a rozmowy dotyczą najczęściej osób „bezspornych", którzy już udowodnili swą przydatność do studiów wyższych.

Sprawę atmosfery w toku egzaminów uważam za rzecz bardzo ważną, mającą wpływ na wyniki. Złą przysługę robią rodzice towarzyszący kandydatom. Wnoszą bowiem atmosferę zdenerwowania i błędnych wniosków, co do wyniku egzaminu. Notują pytania, by przekazać je koleżankom czy kolegom zdającego. A przecież zestawy pytań nie powtarzają się.

Natomiast, moim zdaniem, pożyteczna byłaby obecność przedstawicieli organizacji młodzieżowych, którzy mogą „rozładowywać" atmosferę oczekiwania. Uważam także za potrzebne, by od czasu do czasu ktoś z członków komisji, w kuluarach, parę minut porozmawiał z kandydatami, wprowadził ich w „technikę" egzaminu. Na Wydziale Filozoficzno-Historycznym robili to sekretarze Komisji.

Wydaje się, że byłoby rzeczą nader pożyteczną, zwłaszcza na kierunkach humanistycznych wprowadzenie testów pisemnych zamiast wypracowania z danego przedmiotu. Odpowiednio dobrany zestaw testów wykazałby zarówno stopień inteligencji kandydata, jak i jego predyspozycje psychiczne.

Nie jest możliwe wyczerpanie, nawet w dwu artykułach, problematyki rekrutacji kandydatów na wyższe uczelnie. Do tej sprawy jeszcze wrócę, lecz wydaje się konieczne już teraz zwrócenie uwagi rodziców i młodzieży, by decyzję o przystąpieniu do egzaminu rozważali w oparciu o opinię szkoły i w szerszym zakresie niż dotychczas korzystali z poradni psychologicznych.

Zagadnienie bardzo ważne — ustrzec młodzież przed rozczarowaniami i ambicjami bez pokrycia. Mickiewiczowskie hasło „mierz siły na zamiary, nie zamiar wedle sił" wciąż pozostaje aktualne.

Fot. W. Pietrzyk

RYSZARD BINKOWSKI

NIECH ZAGRA KAPELA!

Przyszedł facet pod czterdziestkę, nerwowy, i mówi:

— Chcę założyć kapelę ludową. Ale taką, żeby godnie reprezentowała Ziemię Łódzką, w kraju i za granicą.

Jakiś maniak, pomyślałem, lecz przez grzeczność spytałem, skąd u niego taki pomysł.

— Od lat w sobie to noszę, a z muzyką od dziecka mam do czynienia.

Nowy Janko Muzykant, pomyślałem. Ale niech się facet wygada. I, przyznaję, wzięła mnie ta historia, kiedy zaraz na początku dowiedziałem się, że zanim Sygietyński z „Mazowszem" zaczął rozsławiać muzykę ludową, on się dobrze zdążył osłuchać „Cyraneczki", którą 30 piersiastych dziewcząt zaciągało przy pasionce, aż niosło się echem do sąsiednich wsi. Na ogromnych łąkach to było, nad stawami leżącymi w amfiladzie zielonej, we wsi Wiesiołów w pow. brzezińskim, a w Goździ się urodził i do 15 roku życia pasał krowy. Nazywa się Zenon Jagiełło...

☆ ✲ ☆

U Jagiełłów wszyscy muzykowali. W rodzinie matki też, zwłaszcza bracia Kałeccy, toteż Zenek mając 6 lat ograł kilkanaście imienin, o północy już się zaczynał obchód po Janach, datki zbierając. Walił w bęben, towarzysząc grającemu na skrzypcach ojcu.

Ale w szkole nauczyciel K. Piestrzeniewicz, notabene świetny wychowawca, wrażliwy na muzykę, wywalił go z chóru do kopania piłki z powodu... braku muzykalności. Fałszu się u niego dosłyszał. Była okupacja i znalazł się we wsi wysiedlony spod Warszawy A. Wiśniewski, który pięknie grał na skrzypcach. Jak się chłopak nasłuchał skrzypkowania takiego, to nabrał ochoty, chociaż ojciec bezskutecznie namawiał go nieraz do instrumentu, i sięgnął po wiszące na kominie skrzypce. W mig nauczył się kilku polek i zaczął wycinać podczas przerwy w szkole. Piestrzeniewicz nie mógł uwierzyć, aż popłakał się ze wzruszenia. Tym sposobem Zenek Jagiełło trafił pod opiekę kier. szkoły I. Gałeckiego, u którego po 3 miesiącach doszlusował do uczącego się zespołu i mógł grać utwory znanych kompozytorów. Kiedy przyszło wyzwolenie, była bieda, ojciec tylko 5 morgów posiadał, matka ciężko chora, ruszył na naukę do Łodzi. Dwa lata ogólniaka (tu nauczył się poprawnego śpiewania w chórze), potem powrót do Głowna. Zrobił „małą" maturę i ukończył kurs pedagogiczny. Pół roku pracy nauczycielskiej w Bednarach, kontynuowanie nauki w Liceum Pedagogicznym w Łowiczu i świadectwo dojrzałości w r. 1949. Przyjechał inspektor, chciał go zrobić kierownikiem szkoły. Jajecznicę zjedzono, wódkę wypito i na tym się skończyło.

— Oj stary, tyś go tak zaraził do tej muzyki — biadoliła matka — ale chleba on za to nie będzie jadł.

Zenek wziął walizkę z kilkoma przetartymi ciuchami, skrzypce pod pachę i ponownie ruszył do Łodzi. Trafił na Hannę Wąsalankę, przy której pomocy zdał na Wydz. Pedagogiczny Wyższej Szkoły Muzycznej. Grać już trochę umiał, śpiewać też, ale na polityce nie bardzo się wyznawał, toteż różnie mu się wiodło na tej uczelni, a gdy się ożenił trzeba było się chwytać pracy zarobkowej. Od tej pory zaczyna się rozwijać jego pasja szerzenia folkloru na Ziemi Łódzkiej.

Był instruktorem muzycznym przy wielu zakładach pracy. Do dziś działa założony przez niego zespół „Caravana" w Głownie.

Prowadził Zespół Pieśni i Tańca przy Ministerstwie Przemysłu Drobnego i Rzemiosła.

Podczas I Konkursu Kapel Ludowych w Polsce zespół w składzie: Z. Jagiełło, A. Rogala, A. Biedrzycki, J. Kazimierczak i S. Zabost, utalentowany bębnista ze wsi Gileńsk zdobywa I miejsce i wyjeżdża na Zlot Młodzieży do Moskwy, gdzie na 96 kapel z całego świata zdobywa srebrny medal.

To nie przewraca mu w głowie. Nadal pracuje w terenie na różnych stanowiskach, zawsze związanych z ludowym muzykowaniem. Doszedł do tego, że jako pierwszy zainscenizował piosenkę ludową (w Zespole Pieśni i Tańca Ziemi Skierniewickiej) — z piosenek i przyśpiewek stworzył obrazek sceniczny. Teraz marzy mu się reprezentacyjna kapela Ziemi Łódzkiej...

☆ ✲ ☆

Zacząłem się zastanawiać, czy pomysł taki jest realny. Chciałem wyszukać argumenty, które by potwierdziły potrzebę stworzenia takiej kapeli.

Weźmy dawne Księstwo Łowickie — Łęczyca, Łowicz, Kutno, Skierniewice, Rawa Maz. — a z drugiej strony Sieradz, Opoczno. Te przepiękne stroje, ten pasiak ludowy i muzykę, której melodyka mieni się barwami, jak w owym pasiaku. Łódź i województwo jest „zagłębiem" artystycznych zespołów i kapel ludowych. Wystarczy wymienić zespoły „Harnama", „Marchlewskiego", ŁDK, „Kolejarza" w Łowiczu, świetny zespół z Dobronia. Przeto już z tych względów Ziemia Łódzka jest najbardziej predestynowana do posiadania własnej, reprezentatywnej kapeli.

Przemawiają za tym i ludzie, jak A. Radymiński, muzykanci, którzy w swojej

KONRAD FREJDLICH

JÓZEF H. WIŚNIEWSKI

Granica serdeczna

Po ruchliwych miasteczkach przygranicza, po Świebodzinie zwłaszcza, gdzie jakiś typek kiepską niemczyzną oferował nam w restauracji wymianę marek na złotówki, spokój granicznego przejścia oszałamia i przynosi coś w rodzaju rozczarowania. Celnicy omijają nasz samochód; tylko wopista, sprawdziwszy mechanicznie pieczątkę w dowodach, salutuje i wskazuje ręką wjazd na most.

— To wszystko — mówi, uprzedzając pytanie. — Szerokiej drogi!

Stojący obok niego chłopak w szarym mundurze wykonuje pożegnalny gest. Po chwili mijamy Odrę.

Monotonia autostrady. Krajobrazy za oknem chylą się leniwie, chociaż silnik pracuje na maksymalnych obrotach. Zmieniały się tylko hasła agitacyjne na wiaduktach, zachęcając do spożywania warzyw i owoców, to znów do kupna lodówki. Na parkingu wśród drzew wycieczkowy „Jelcz" i gromadka turystów. Kiedy wysiadamy, otaczają nasz samochód.

— Nie wiecie, panowie, czy w Berlinie można dostać czajniki, takie z gwizdkiem? — pyta nas zaraz niespokojnie jakaś kobieta.

— Trzeba spytać na miejscu — odzywamy się przyjaźnie.

— Kiedy ja nie mówię po niemiecku, z Wołomina jestem — tłumaczy rozmówczyni.

Czajniki z gwizdkiem, które od chwili otwarcia granicy, przyczyniły się do ożywienia turystyki, przestają jednak być symbolem naszego zbliżenia z zachodnim sąsiadem. Przekonaliśmy się o tym już w Berlinie, który w letnim słońcu wydawał się mniej surowy niż zazwyczaj, gdzie spotkaliśmy grupkę chłopców ze Szkoły Przysposobienia Rolniczego z powiatu łęczyckiego. Chłopcy byli zadowoleni z praktyki, którą odbyli w spółdzielni produkcyjnej nie opodal Oranienburga, pod opieką swego nauczyciela mgr Mieczysława Rykały. Zarobili tu trochę marek, dzięki czemu mogli zwiedzić Berlin, Poczdam i inne miasta. Lecz przede wszystkim zapoznali się z organizacją pracy niemieckiej wsi, z nowymi maszynami. Podkreślali, że jest to największy kapitał, jaki stąd wywieźli. Zostawili też w Germensdorf grupę przyjaciół z FDJ, co wydaje się najważniejsze.

A więc nie tylko czajniki. Zresztą, może to tylko złudzenie optyczne, ale jakby zelżał tłok w domach handlowych w centrum, tradycyjnie obleganych przez Polaków. Gdy byliśmy tu przed dwoma miesiącami, przeważały zakupy hurtowe typu: co pod rękę wleci. Obecnie zakupy dokonywane są detalicznie, z rozwagą, a co ważniejsze, obok polskiej słyszy się tu także mowę... niemiecką.

Zresztą zainteresowanie zagranicznymi towarami jest obustronne, o czym świadczy najlepiej powodzenie sklepu w Polskim Centrum Kultury i Informacji w Berlinie. Dyrektor mgr Czesław Tomczyk, łodzianin z pochodzenia, powiedział nam, że Ośrodek nie jest finansowany przez MSZ, ale samowystarczalny. Okazuje się, że berlińczycy, mimo masowych wyjazdów do Polski, kupują tutaj i to sporo, skoro dochody osiągane ze sklepu wystarczają na pokrycie bogatej działalności programowej. Przeniesiony niedawno z baraku przy Friedrichstrasse do imponującego budynku w pobliżu placu Aleksandra, Ośrodek nasz jest dla wielu berlińczyków oknem wystawowym Polski, warto więc poświęcić kilka słów jego pracy.

Najistotniejsza jest chyba działalność o charakterze informacyjnym. Uczeni, specjaliści z różnych dziedzin wiedzy, pisarze, działacze społeczni, dziennikarze na terenie Ośrodka i w różnych miejscowościach NRD wygłaszają odczyty, prowadzą spotkania — słowem informują o najważniejszych wydarzeniach politycznych, gospodarczych i artystycznych w naszym kraju. Prowadzi się także działalność dydaktyczną, zwłaszcza w zakresie kursów języka polskiego, w których uczestniczy każdorazowo pełny komplet, 150 osób. W samym Ośrodku odbywają się wystawy malarstwa, sztuki użytkowej, fotografiki, wyświetla się polskie filmy. Działa tu wreszcie biblioteka zaopatrywana w polskie nowości wydawnicze i czasopisma, co przyciąga zwłaszcza pisarzy i nic dziwnego, że Ośrodek nawiązał przyjacielskie kontakty z licznymi translatorami naszej literatury, takimi choćby jak niestrudzony Henryk Bereska. Nasz Ośrodek organizuje też w Berlinie imprezy artystyczne, stanowiące niejako wizytówkę naszych możliwości w różnych dziedzinach życia artystycznego. Szkoda więc, że nie pomyślano o licznie przybywających do NRD polskich turystach, którym bariera językowa uniemożliwia poznawanie kultury tego ciekawego kraju, można by się chyba dogadać z gospodarzami i pewne akcje przeprowadzać wspólnie, co na pewno nie zaszkodziłoby naszym wzajemnym stosunkom.

Rzecz charakterystyczna, zainteresowanie kulturą polską zaobserwować można zwłaszcza w kręgach berlińskiej młodzieży, a często przejawia się ono czynnie, na dowód czego warto przedstawić Wolfganga Joehlinga, młodego poetę a zarazem tłumacza polskiej poezji.

Joehling, rocznik 1944, interesuje się polską kulturą niejako urzędowo, jako pracownik Ministerstwa Kultury i Sztuki NRD. Ale ta funkcja jest niejako ukoronowaniem życiowej pasji. „Zbliżenie naszych narodów jest dla mnie jedynym, istotnym sensem własnego istnienia. Należę więc, jako „Amicus Poloniae" do nielicznej grupy szczęściarzy, u których osobiste życia się pokryją z obowiązkami społecznymi" — pisał do nas nieco chropawo, ale po polsku, jeszcze przed naszą wizytą w Berlinie. Osobiste spotkanie w pełni potwierdziło te zwierzenia.

Joehling studiował w Lipsku rusycystykę i polonistykę, ale po uzyskaniu dyplomu wystarał się jeszcze o wyjazd do Poznania, gdzie pogłębiał znajomość polskiego. Jest rozkochany w naszej kulturze, toteż w berlińskim mieszkaniu przy Kollwitzstrasse czuliśmy się jak w gabinecie polskiego pisarza. Na ścianach kandelabry z białymi orłami, polskie szable, na regałach setki polskich książek. Gospodarz przemawiał do nas czystą polszczyzną legitymując się znakomitą znajomością nie tylko naszej literatury, lecz także polsko-niemieckich stosunków kulturalnych. Po paru lampkach wina, jak to bywa między rówieśnikami, przeszliśmy na „ty", a gdy zabrakło alkoholu poszliśmy do pobliskiej restauracji. Na strzemiennego, ale rychło okazało się, że trudno nam się rozstać, kontynuowaliśmy więc naszą rozmowę zastanawiając się zwłaszcza nad obrazem problematyki niemieckiej w książkach pisarzy polskich i tematyki polskiej w książkach pisarzy NRD. Rozległe to zagadnienie i niełatwe choćby do streszczenia, ale trzeba się zgodzić z Wolfgangiem, że na naszej literaturze zbyt zaważyły doświadczenia historyczne i książkowy model Niemca jest zbyt jednostronny. Po kilku strzemiennych, z których tylko ostatni nosił właściwą nazwę, pożegnaliśmy się z Wolfgangiem, który rano odlatywał na Kubę i późną nocą dotarliśmy do naszej bazy noclegowej w Koepenick.

Dzielnica berlińska Koepenick głośna jest choćby przez słynną sztukę satyryczną Zuckmayera o kapitanie, w której ośmieszony został kult pruskiego militaryzmu. Polski turysta rzadko tu dociera, zwłaszcza ktoś, kto wybrał się prywatnie, bo to i daleko od centrum i trafić niełatwo. Dla Polaka Berlin kojarzy się z placem Aleksandra, Alexem, jak mówią miejscowi, najokazalszym w całym mieście. A także z Aleją Marksa, przypominającą swoim architektonicznym wystrojem naszą MDM, w socrealistycznym stylu lat pięćdziesiątych. Bo i sklepów tu więcej, i rodaka spotkać łatwo, żeby go spytać o drogę, gdy się zbłądzi. Zresztą w śródmieściu można się zawsze orientować na wieżę telewizyjną, której iglica, wysoka na 200 metrów, wystaje nad dachami. Obowiązkowy jest także spacer Unter den Linden, ulicą pod lipami, zamkniętą słynną Bramą Brandenburską, która służy nieodmiennie jako tło pamiątkowych zdjęć.

Koepenick jest dzielnicą peryferyjną. Położona wśród lasów i jezior, stanowi płuca wielkiego miasta, jego wielkie wczasowisko. Najzamożniejsi berlińczycy, taka tu ostatnio moda, przesiadają się latem z samochodów do motorówek i płynąc przez jeziora połączone kanałami relaksują w nadbrzeżnych restauracjach o fantazyjnych nazwach.

Mieszkamy właśnie w takim wczasowisku na cyplu Stadtforst, pomiędzy jeziorem Grosse Krampe i Longer See, gdzie niedawno zbudowano młodzieżowy kamping. Przewaga Niemców, ale słyszy się także język polski, czeski, bułgarski. Długie, wieczorne rozmowy. Są ciekawi Polski.

My ciekawi jesteśmy berlińskiego piwa, tym bardziej, że rozpanoszyły się upały. W Ratkeller, w podziemiach słynnego czerwonego ratusza, spotykamy taksówkarza ze Szczecina. Jest tu oczywiście „gablotą", wybrał się po części zamienne do swego samochodu.

— Mnie tu, panie, bliżej, niż do Warszawy, krótsza droga. Poznaniakom chyba też.

Niemcy też są zadowoleni z otwarcia granicy. Pytają o Zakopane i miejscowości nadmorskie, o ceny noclegów.

Jakże zmienił się ten Berlin w parę lat. Pamiętamy go jeszcze jako miasto ciemne, półwymarłe, wieczorem, oszczędzające energię elektryczną. Wprawdzie i teraz, na pierwszy rzut oka, wydawać by się mogło, że berlińczycy to zawołani domatorzy, ale to tylko półprawda, o czym przekonaliśmy się w knajpkach. Łatwo dojść do wniosku, że połajanki w rodzaju tej, która głosi, iż nadużywanie alkoholu jest cechą wyłącznie polską, należałoby w kontekście naszego doświadczenia zrewidować. Różnica polega na tym, że widzieliśmy ludzi podchmielonych, a nawet zalanych, ale nie widzieliśmy pijackich awantur.

Będąc w Berlinie, trudno nie zawadzić o Poczdam, który jest prawdziwie turystyczną Mekką, skoro odwiedza go rocznie 2 miliony turystów. A są to dane jeszcze sprzed otwarcia granicy. To barokowe miasto, podniesione przez króla pruskiego Fryderyka II do rangi monarszej siedziby, a zwłaszcza zespół ogrodowo-zamkowy Sans-Souci (co tłumaczy się „bez troski") miało unaocznić światu potęgę i bogactwo Prus. Ostatnie budowle wznoszono już w czasach, gdy kanclerzem był Bismarck, toteż wybierając się do Poczdamu zawsze mam w pamięci jego słowa: „Bijcie w Polaków, by im ochota do życia odeszła. Osobiście współczuję ich położeniu, ale jeśli pragniemy istnieć, nie pozostaje nam nic innego, jak ich wytępić. Wilk też nie odpowiada za to, że Bóg go stworzył takim, jaki jest..."

W Poczdamie uderza bogactwo, ale brak jest piękna, chociaż zdarzają się urodziwe fragmenty. Wszystko przytłacza parweniuszowski przepych; bo wszystko to miało zalecać się natrętnie, kłuć w oczy, prowokować. Toteż przeciwwagą dla Sans-Souci jest zamek Cecilenhof, miejsce historycznej Konferencji Poczdamskiej, która stanowiła podzwonne pruskiego militaryzmu pogrzebanego pod gruzami III Rzeszy. Tej Konferencji, na której wytyczono naszą granicę na Odrze i Nysie.

Ale traktaty i układy rozwiązują przede wszystkim problemy geopolityczne. Rzeczywistemu zbliżeniu służą bezpośrednie kontakty, osobiste przyjaźnie, wzajemne poznanie. Dobrze przysługuje się temu otwarcie granicy, która teraz jest już nie tylko granicą pokoju. Jest granicą serdeczną.

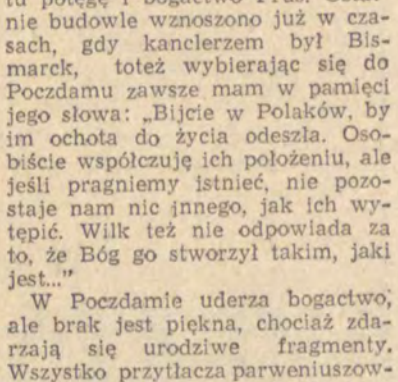

działalności pozostawili niezatarty ślad i tyle wnieśli do podtrzymania i rozwoju muzyki ludowej, że ich pracę można by porównać z działalnością Kolberga, który działał w pojedynkę.

Piękna jest muzyka naszego regionu. W oberku łowickim znajdują się tak specyficzne elementy (rubato), które nie mają odpowiednika w folklorze europejskim, a może i światowym. No i te stare wesela, pełne rozśpiewanych instrumentów i chłopskiej duszy swobodnej.

Tymczasem działają w Łodzi i województwie zespoły czysto użytkowe, służące zespołom tanecznym, a grają w nich profesjonaliści, którzy muszą „dzielić" duszę na dwoje. Dlatego też w ich muzyce trudno znaleźć zapach siana, maciejki, nagrzanych w słońcu łąk...

Przy PR w Warszawie pogrywa od lat kapela Dzierżanowskiego, zespół harmonistów Wesołowskiego. Karmią nas muzyką pseudoludową. Tymczasem Katowice posiadają znakomitą „trafną" ludową kapelę pod kierunkiem W. Byszewskiego. Tu w każdym takcie słychać Śląsk, bo jest to autentyczna, śląska muzyka.

Na marginesie warto przypomnieć, że w r. 1949 Z. Jagiełło przy współudziale red. J. Mozgi, który również jest synem wsi, stworzył pierwszą kapelę przy PR w Łodzi. Nagrała dwie audycje i została rozwiązana z powodu braku funduszów...

Fot. A. Różycki

Wydaje się, że w dzisiejszych czasach środków finansowych nie może zabraknąć. Kapela jest potrzebna. Łódź to miasto robotników, chyba 30 proc. mieszkańców przyszło do tego miasta ze wsi. Kiedy na łódzkiej estradzie pojawi się autentyczny zespół ludowy, brawom i owacjom nie ma końca...

No tak, powiecie, ale kto ma stworzyć taką kapelę, gdzie ona znajdzie siedzibę, kto w niej będzie grał?

W związku z przemianowaniem ŁDK na Wojewódzki Dom Kultury, wzrósł zakres jego działania. Tu mogłaby być siedziba reprezentacyjnej kapeli.

Albo i w Łowiczu, w sersu tego barwnego, rozśpiewanego folkloru, w „zagłębiu" autentycznych talentów, takich jak A. Szymański, J. Witkowski, którzy do dziś grają na wiejskich weselach, a co drugi taniec, to oberek.

Myślę sobie, że taka kapela winna składać się z autentycznych muzykantów, którym jednak pismo nutowe nie jest obce, ale dusza jeszcze nie inteligencka, mieszczańska. Muzykę natomiast mogliby opracowywać rzetelni fachowcy, rozmiłowani w folklorze, którym jego rozwój leży na sercu. Środki i pomoc na pewno się znajdą. Wydziały Kultury WRN i RN m. Łodzi, a także WKZZ, skąd głównie można liczyć na poparcie i przychylność, zechcą chyba partycypować w tej dość istotnej dla regionu sprawie.

Kogo jeszcze widziałbym w reprezentacyjnej kapeli? Np. W. Maurera z Babic, który sam pisze teksty, jest świetnym gawędziarzem i recytatorem. Jego miejsce jest tam, gdzie słowo zbiega się z nutą. To daje efekty, poezja na podkładzie muzycznym...

Widzę również miejsce dla przyśpiewkarki z Błędowa, Walerii Czubak, która też wymyśla teksty i śpiewa:

„Śpiewałabym jako tako,
zebym nie bela scerbato
Ale mi się nuta psuje,
z scerbaciną ulatuje!

Aby jednak dojść do celu, należy szerzej propagować muzykę i kapele ludowe. Wiem skądinąd, że aby się społeczeństwo dowiedziało o sukcesie istniejącej od roku 10-osobowej kapeli „Synteksu" w Łowiczu, jej kierownik Z. Jagiełło osobiście musiał powiadomić o tym jedną z redakcji. A sukces przecież niebagatelny — na tegorocznym VII Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu zespół zdobył dwa pierwsze miejsca w kraju!

Kiedy nieznana juniorka skoczy o 1 cm dalej od rekordu, co może być nawet źle odmierzonym śladem na piasku, piszą o niej we wszystkich gazetach.

Kiedy dziewczyna z gitarą, o słabym głosie, który tylko dzięki wzmacniaczom można dosłyszeć, zaśpiewa ckliwy szlagierek, oblegają ją fotoreporterzy i sprawozdawcy prasowi.

Nazwiska świetnych, autentycznych muzykantów, zna mało kto.

Dlaczego nie ma płyt z prawdziwego zdarzenia z nagraniami kapel ludowych? I czy skrzypce, bęben ludowy, przyśpiewkarka o palcach zgrubiałych od ciężkiej pracy na roli są mniej fotogeniczne niźli elektryczne gitary i świecące mdłym blaskiem gwiazdy bitowe?

Nie czekajmy, aż ostatni muzykanci odejdą. Oni chcą jeszcze dla nas pograć...

CHRISTO JOAKIMOW

Przywiązanie

Jak obwisła starcza dłoń
leży spokojnie Ziemia
Przestwór nieba z mgiełką poranną
pogodny dzień nam zwiastuje
dywanem z kwiatów jest dzisiaj równina.

Niespokojne fale pola zielonego
nasze kroki z czułością zacierają.
Starucho Ziemio, nie zabieraj mi
dobrej wiary, że w Twoich niwach
każda miłość jest kapryśnie kłująca.

Nocna impresja

Pochylają się drzewa w deszczu.
Moje myśli zstępują w cienkiej smudze światła
ażeby mnie obronić przed jego szyderstwem.
Pod moimi dłońmi
utulę łzy przyrody.

Prostują się drzewa od deszczu.
Latarnią mego nieuśpionego okna
szukam nocą przyjaciół.
Po deszczu zapach jest najsilniejszy.
i woń traw poczuję.

Nie wiem co mi pozostawiły pszczoły
ale pieszczot motyli dostąpię.

W górach

I tylko jedna piędź dzieli ziemię od niebios
i dlatego chcę słuchać bajek o odważnych.
W podobłocznych wysokościach jeśli natknę się na wiatr
uronię łzę, która jest jak nowy szczep
na starym cielsku ziemi.

Nie ma nic silniejszego nad to drzewko małe.
Z miłością i przywiązaniem go pielęgnują.
I będę zadowolony kiedyś, gdy poczuję,
że to w nim jest moja radość i nadzieja.

PARUSZ PARUSZEW

★
★ ★

Świadomość domu jest w drzewie,
gdy gałęzie ptakom przysuwa.

Świadomość miłości w drzewie,
gdy swe owoce do naszych rąk obniża.

Świadomość drogi jest w drzewie,
gdy rankiem chłód jego cienia nas szuka.

Świadomość obowiązku w drzewie,
gdy siekiera drwala w jego zdrowy miąższ się wpija.

Drzewo, przyjacielu...
jakże wspólne są nam odwieczne drogi.

Przełożyła:
ZDZISŁAWA JÓŹWIAK

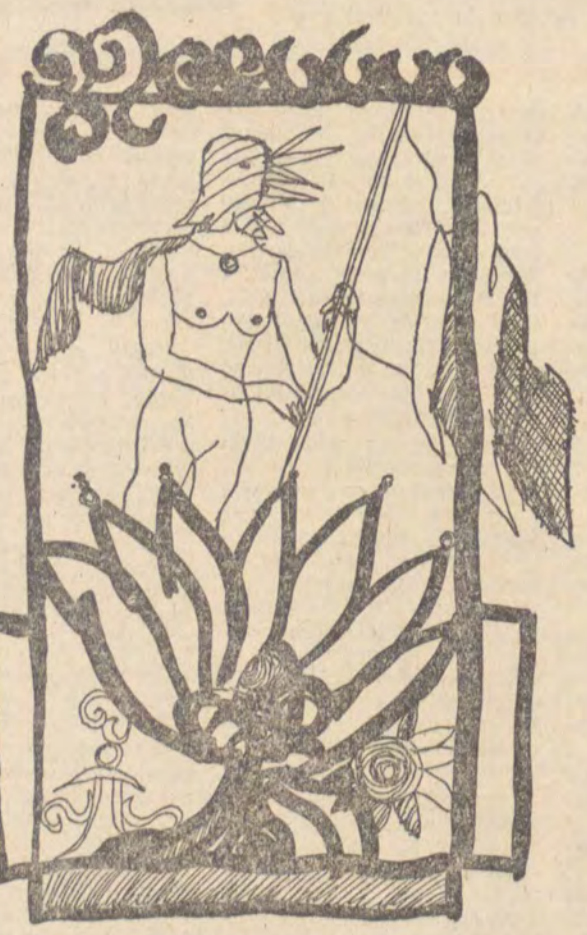

Rys. E. Inglot

ALFRED POLGAR

CZŁOWIEK Z PUBLIKI

W dużej sali hotelu górskiego, na podium, gdzie dotychczas siadała kapela — dawał mistrz sztuk Camillo swoje występy. Powodował znikanie kart, wylewał wodę z pustej butelki, ściskał brzuch ręką i jajka mu wyskakiwały z ust (po każdym mistrz gdakał), robił supełki na chusteczce do nosa i przeciągał ją przez rurkę zwiniętej dłoni aż chusteczka wróciła do poprzedniego stanu. Mógłby zresztą — jak powiadał — ujawnić jakiemuś panu z publiczności swoje najintymniejsze myśli; podczas czarowania mag ciągle gadał. Był też dowcipny, opowiadał na przykład, że pewien jegomość oferował mu sporą sumkę za nauczenie go, jak się można na raz dwa trzy pozbyć kobiety — i mógłby to zrobić — ale jego własna żona zabroniła mu tej sztuki jako niemoralnej. Wskazał przy tym na swoją asystentkę, która figlarnie pogroziła mu palcem i ciągle „Ecco" powtarzała, chociaż nazywała się Miss Ellinor Goodwyn i pochodziła z Pragi.

Widzowie w eleganckich strojach wieczorowych bili brawa. Byli łagodni, nie zwracali uwagi na szczegóły, przysłuchiwali się dobrodusznie i z tą samą czułością, z jaką słuchają dorośli dziecka recytującego wiersz. Lato, wakacje, wieś... Wtedy chętnie ubiera się ludzi prymitywnych w eleganckie stroje i pozbawia ich się tymczasowo części władz krytycznych. Pani Stein biła brawa z przesadną energią, pan Stein zaś spoglądał ciągle na pewną rudą damę siedzącą przy sąsiednim stoliku, która wyraźnie ignorowała jego spojrzenia. „Emil" rzekła pani Stein „zamieńmy się miejscami", „chętnie moje dziecko" odpowiedział Emil i ukarał towarzyszkę życia typowo małżeńskim wzrokiem. Był to wzrok zranionego jelenia. Och, Boże, czy to w ogóle jest życie, to życie?

„Czy nie zechciałby któryś z panów pofatygować się na scenę? Zostanie zwrócony małżonce nietknięty i nieposzkodowany" — zawołał mag z estrady. Panowie, do których zwracał się z zapraszającym gestem, ociągali się. „To wcale nie boli" — powiedziała Ellinor. Może ten pan, o ten z jasnymi faworytami, będzie tak uprzejmy. Pokazała na pana Steina, który swoje blond włosy nosił a la brosse i miał już małą łysinę. Wszyscy patrzyli na wybranego. „Odwagi" powiedział mistrz. Dama przy sąsiednim stoliku zaśmiała się drwiąco i krzyknęła „brawo!" To chwyciło Emila jak rycerza z ballady Schillera o rękawiczce i poniosło na podium.

Gdy już tam stał i zmarszczyła mu się twarz od zrezygnowanego uśmiechu, cała sala biła brawa. Zupełnie samorzutnie skłonił się biedny człowiek z publiki, brawa stały się głośniejsze. Emil ukłonił się znowu. Położył przy tym rękę na sercu, ażeby uspokoić energiczne bicie i ten właśnie ruch był ratunkiem. Gest ów wzięto za samoironię wpędzonego dla żartu na scenę, bo poprzez burzliwe oklaski zażegnano dawny odcień szyderstwa. Brzmiały one teraz dla pana Steina przyjaźnie, sympatycznie i dodawały mu coraz więcej odwagi. Duch jego przeszedł najgorsze i wzniósł się nieco wyżej nad ziemię właśnie wtedy, gdy pani Stein płonęła ze wstydu, który spowodował jej śmieszny małżonek.

To pierwsze publiczne wystąpienie Emila urosło do rangi największego kwadransa jego życia. Tak oto z nikogo, którym był od czasu swego małżeństwa, stał się kimś. Stał w punkcie centralnym, a świat krążył wokół niego. Cała ludzka bezczelność, która od dwudziestu lat wpędzała jego duszę w najciemniejsze zakątki, przestała go nagle dręczyć a dusza zaś uwolniona od kompleksów parła zwycięsko naprzód ku szarlatańskiej świetności. Czuł niewypowiedziane animozje, które od dawna w nim tkwiły, wyzwalały się, i przenosiły go w stan wspaniałego błogiego upojenia. O, rzadkie szczęście, on wywalczył, bronił się, dementował, ośmieszał tych, którzy jego chcieli ośmieszyć. A jeszcze świadomość wpatrywań kobiecych i to wszystkich z sali w jeden punkt, w niego, który dotychczas nie doświadczał takich rozkoszy, miała swój smak dodatkowy.

Gdy pan Stein opuścił podium, rozległy się owacje dla bohatera wieczoru. Także jego żona chociaż wydawało jej się to wszystko tajemnicze i groźne, nie mogła nic innego, jak tylko być z niego dumna, a gdy on z promieniującą twarzą przysiadł się do rudej damy, która teraz spoglądała na niego przyjaźnie i z zainteresowaniem, powiedziała: „Emil zamieńmy się miejscmi". „A po co" odpowiedział pan Stein, „siedzimy bardzo dobrze, tak jak siedzimy". Kobieta umilkła, bowiem poczuła nagle, że jakaś wyższa siła deformuje jej język w trakcie mówienia i wolała zaczekać, aż owa moc przeminie.

Długo nie musiała czekać. Sztukmistrz skończył swoje występy, na estradzie pojawiła się znowu kapela, tańczono, nikt już nie podziwiał pana Steina. Jego blask okazał się jednak krotochwilny, został znowu pogrążony w mroku. Ale kto raz zakosztował sławy i szczęścia stania w punkcie centralnym, ten tak łatwo nie daje się zepchnąć na peryferia, gdzie byłby nadal punktem między punktami. Z tego powodu wziął pan Stein parę czarodziejską na bok. „Wiem, że jutro wieczorem będziecie państwo przedstawiali swoje sztuki w hotelu pałacowym. Wyczytałem to na plakacie. Proszę wziąć te dwadzieścia marek. Gdybyście potrzebowali jakiegoś pana z publiczności, to...". „Nie mogę sobie życzyć lepszego partnera" powiedział magik i „Ecco" powiedziała Ellinor Goodwyn. Szczęście, że Emil jest ekspedientem i może... Może odbyć z doktorem Camillo tournée przez wszystkie prowincje i stać się wagabundą — trampem wolnym od wszelkich obowiązków obywatelskich. Bo ten Camillo jest czarodziejem i nie kłamie, jeżeli mówi, że zdradzi mu sekrety swojej magii, to znaczy, że i on doskonale tę sztukę opanuje. I będzie wiedział przy okazji, jak na raz dwa trzy odprawić własną żonę.

Przynajmniej na piętnaście minut.

Tłumaczył z niemieckiego:
WIESŁAW JASTRZĘBSKI

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

LABIRYNT Z MLECZARZEM

Mieszkanie mam w codzienności, której nie upiększa nowy mebel, ani naga kobieta. Rano, kiedy zdołam obudzić się wreszcie, zawsze jestem zdziwiony, że żyję za pomocą dziwnej sugestii, pozwalającej mi poruszać się, i poruszającej w moim ciele krew. Budzi ona też mózg, w którym świadomość epoki, jej odwieczne, ale w coraz to nowym wymiarze wyłaniające się problemy, to hamulce, gotowe tę sugestię zniszczyć.

W każdym razie nie kłaniam się mleczarzowi. Robi na mnie wrażenie kogoś, kto zstępuje zza czarnej chmury wprost pod moje drzwi z mlekiem, które po prostu lubię. Jest to człowiek z moich snów, ciemną chmurą przesłoniętych, po których jestem uprzedzony do siebie. I do rodziców. Oni to rozpoczęli moje powolne przemijanie w nic.

Wielkie koło nie ma początku ani końca, a przynajmniej nie wiadomo, w którym punkcie początek i koniec znajdują się. Nic wspólnego z tym kołem nie mają te, które my sobie rysujemy. Niektórzy posługują się cyrklem. Ich dokładność jest bezcelowa.

Powiesił się mój przyjaciel. Odwiedziłem go i dom zastałem w żałobie: jego matkę i siostry zalewające się płaczem, ojca, który milczał bardziej od leżącego w trumnie syna. Zachowałem spokój, zemdlił mnie trochę trupi zaduch, wyszedłem czym prędzej. Przez dłuższy czas nie mogłem pić, jeść, nawet palić. Przyjaciel przyrzekał mi zawsze, że zrobi coś najmniej oczekiwanego, w najmniej oczekiwanym czasie. I stało się jak przyrzekł. Bowiem ostatnio był niezwykle szczęśliwy.

Nie poszedłem na pogrzeb. Rano spotkałem jego dziewczynę, zaprosiłem do siebie, podarłem na niej suknię czarną. Próbowała krzyczeć, ale ja przestałem się bawić, spoważniałem, łeb utopiłem w zimnej wodzie, wreszcie byłem spokojniejszy. Poszliśmy do kawiarni, aby poczekać na zmarłego przyjaciela. Postawiła mi kawę. Odtąd byliśmy szczęśliwi. Siadaliśmy wieczorami obok siebie, otwierałem ogromną księgę, czytałem głośno. Uczyliśmy się. To była zdolna dziewczyna. Wyliczyła nawet punkt w nieskończoności, w którym mieliśmy być najbliżej siebie. Dla mnie jednak, już sama prosta nieskończona to labirynt, za którego każdym zakrętem stoi mleczarz. Aż zakradł się po moje szczęście.

Któregoś dnia, ze snu o nim, jak zstępuje zza czarnej chmury, obudziłem się z krzykiem.

— Co ci jest?! — zaniepokoiła się dziewczyna. — Przestraszyłeś się, a to tylko mleczarz poprosił mnie o chwilę rozmowy. Spytał, czy w przyszłym miesiącu nadal ma przynosić mleko.

— I co mu powiedziałaś?...

— Że nie, bo teraz ja jestem z tobą i ja sama będę chodziła do sklepu.

— Fajno, może odczepi się wreszcie.

Myślałem, że ten dzień będzie pochmurny, dlatego słońce mnie zdziwiło. Było dopiero po szóstej, ale czułem się dobrze, więc wstałem. Sam zagotowałem mleko. Potem wziąłem się do malowania. Sąsiedzi także już wstali, włączyli radio. Dowiedziałem się, że dwie nowe wojny wybuchły na kuli ziemskiej, i że schwytano gwałciciela. Obraz skończyłem przed południem.

— O, jestem tu jak żywa, choć wcale ci nie pozowałam. Ale co znaczy ta ciemna chmura ogarniająca mnie?...

Nie musiałem odpowiadać, bo zaraz powiedziała:

— Pójdziemy dzisiaj do kawiarni. Może on także przyjdzie...

— W takim razie dlaczego sama chcesz przynosić mleko?! — ryknąłem wściekle i czarną chmurą pokryłem cały obraz.

Zakończenie:

Słucham radia sąsiadów. Jak usłyszę, że wybuchła nowa wojna na kuli ziemskiej, załatwię mleczarza.

POLONICA

CZESŁAW CHRUSZCZEWSKI LAUREATEM

Niedawno odbywał się w Trieście pierwszy europejski kongres, dotyczący „science-fiction" (S. F.). Uczestniczyli w nim pisarze, plastycy, filmowcy, reżyserzy i wydawcy z licznych krajów europejskich oraz goście z USA, Kanady, Australii i Argentyny. Organizatorami byli Włosi. Szczególnie żywy udział wzięła w obradach 10-osobowa delegacja węgierska. Obradujące podczas kongresu jury przyznało nagrodę specjalną przedstawicielowi Polski — Czesławowi Chruszczewskiemu autorowi słuchowisk radiowych z dziedziny „science-fiction", libretta do opery fantastycznej i kilku zbiorów opowiadań, opublikowanych przez Wydawnictwo Poznańskie.

Czesław Chruszczewski, urodzony 8 V 1922 r., w Łodzi, w okresie okupacji żołnierz Socjalistycznej Organizacji Bojowej w Warszawie, po wojnie redaktor „Expressu Poznańskiego", od 1958 roku kierownik literacki Polskiego Radia w Poznaniu, ogłosił zbiory opowiadań: „Bardzo dziwny świat" (1960), „Magiczne schody" (1965), „Pacyfik-Niebo" (1967), „Różne odcienie bieli" (1970) i tom słuchowisk pt. „Bitwa pod Pharsalos (1969). Słuchowiska te wysoko ocenił „Rocznik literacki", publikowany przez PIW, w dziale dramatu, oraz „Przegląd Humanistyczny".

W. N.

UKAŻĄ SIĘ PO CZESKU...

Czeskie wydawnictwa jeszcze na ten rok zapowiadają liczne przekłady z literatury polskiej i to zarówno współczesnej jak klasycznej. Z beletrystyki przewidziane są tłumaczenia „Miasta niepokonanego" Brandysa, „Koncertu na orkiestrę" Kubackiego, „Śmierć w starych dekoracjach" Różewicza, a także „Rękopisu znalezionego w Saragossie" Potockiego, „Syzyfowych prac" Żeromskiego a z poezji: „Pławienie koni" Iwaszkiewicza, „Labirynt" Ważyka i „Monachomachia" Krasickiego.

Przytoczone tu dzieła zapełnią luki, jakie zaznaczają się w przekładach z języka polskiego, z drugiej strony wzbogacą liczebnie i jakościowo duży dorobek wydawnictw czeskich i słowackich w popularyzacji literatury polskiej.

(er)

POLONICA

ŚLAD PIERWSZY — MAUZOLEUM WARNEŃCZYKA

Cztery kilometry na zachód od Warny, niedaleko skrzyżowania wielkich magistrali: Warna — Sofia i Warna — Tołbuchin, w dużym parku znajduje się zbudowane przed 36 laty mauzoleum. To właśnie tutaj w roku 1844 rozegrała się heroiczna bitwa między zaborcami półwyspu Bałkańskiego — osmańskimi Turkami i Zjednoczoną Armią króla Władysława III Jagiellończyka.

Według słów dyrektora muzeum — Szanko Apostołowa, corocznie około 50 tysięcy turystów ogląda eksponaty wystawione w marmurowych salach mauzoleum. A kiedyś było tu pusto, monotonię rozpraszał jedynie grobowiec z okresu trakijskiego.

Dzisiejsze mauzoleum miało trudny początek, pierwsi Polacy w czasie wojny krymskiej postawili tu płytę pamiątkową.

W 1924 r. społeczeństwo Warny na miejscu trakijskiej mogiły, gdzie wg tradycji był obserwacyjny punkt młodego, bo zaledwie 19-letniego, króla, wzniosło pierwszy pomnik.

W 1935 r. w Warnie powstał specjalny komitet, pod kierownictwem braci Szkorpilowców, do badań archeologicznych. Pierwszym krokiem nowo powstałego komitetu był apel do narodu bułgarskiego o datki na świetniejszy pomnik. Apel braci Szkorpilowców wkrótce uzyskał nie tylko krajowy, ale również oddźwięk międzynarodowy, co staje się zrozumiałe jeśli uwzględni się fakt, że w pochodzie króla Polski i Węgier kroczył kwiat ówczesnego rycerstwa słowiańskiego — ze Słowacji, Rumunii, Chorwacji, Polski i Węgier. W rezultacie tych wysiłków w rok później nastąpiło otwarcie mauzoleum (sierpień 1936 r.).

W 1963 r. z wojennych muzeów Polski, Węgier, Jugosławii, Rumunii, Czechosłowacji zaczęto przesyłać cenne pamiątki pochodzące z XV w., a więc z epoki bitwy pod Warną, np. z Węgier przybył sarkofag jednego z pułkowników Zjednoczonej Armii — Jana Hunjadego, a z Jugosławii makieta twierdzy belgradzkiej. Przed rokiem mauzoleum wzbogaciło się o sarkofag króla Władysława wykonany z białego marmuru wraczańskiego, ciosanego dokładnie tak, jak wyglądał gipsowy odlew przysłany z Krakowa.

U wejścia do parku uwagę zwiedzających przyciąga kamienna statua Jana Huniadego, który jak milczący wartownik stoi na straży alei prowadzącej do wrót budynku muzeum. Dalej bieleją herby sarkofagów siedmiu uczestników wielkiego pochodu. Nad wejściem do budynku, w granicie wyryte są nazwy twierdz, które na znak wdzięczności oddały klucze swoim oswobodzicielom. W hallu utalentowany artysta narysował 7 rycerzy Zjednoczonej Armii. W obszernej sali znajdują się przedmioty mówiące o tej strasznej bitwie, w której wzięło udział więcej niż 100 tysięcy ludzi z obu stron. W centrum drugiej sali stoi husarz na koniu, pod ścianami w gablotach leży ówczesny rynsztunek wojenny — kolczugi, kopie, miecze, piki a nawet uprząż. Dla ułatwienia zwiedzania wydano w 9 językach przewodniki oraz dla grup wygłaszane są prelekcje. Spojrzenie do księgi pamiątkowej poucza nas o tym, że wysiłek bułgarskich pracowników muzeum nie pozostaje niezauważony. Np. grupa polskich oficerów pod datą 20 lipca zapisała: „Narodowi bułgarskiemu wyrażamy naszą wdzięczność za szacunek dla bohaterów historycznej bitwy. Niechaj to nasze wojenne braterstwo trwa dla dobra naszych narodów i dla dobra socjalizmu".

ŚLAD DRUGI — ADAM MICKIEWICZ W OBOZIE KOZACKIM SADYKA PASZY

Spośród tysięcy polskich turystów tylko niewielu natknęło się na pamiątkę szczególnie drogą polskiemu sercu, albowiem dotyczącą Adama Mickiewicza. Ci, którym się to przytrafiło, dłuższy czas pozostają pod wrażeniem nieoczekiwanego widoku. W cichym parku nadmorskim, tuż przy głównej alei, wśród zawsze zielonego bluszczu stoi pomnik Mickiewicza. Widać po nim, że jego fundatorom — mieszkańcom gościnnego Burgas — chodziło raczej o oddanie hołdu, niż o twór sztuki. Jest to skała dwa i pół metra wysoka, w granicie której wyryty jest profil głowy poety. Niżej napis:

ADAM MICKIEWICZ
(1798—1855)
Wielki poeta i rewolucjonista.
Bojownik o wolność i słowiańskie braterstwo.
Mieszkał w Burgas w 1855 r.

W rzeczywistości autor „Pana Tadeusza" w okresie swego pobytu w Bułgarii nie przebywał w Burgas, lecz o 15 km na południe, w obozie Sadyka Paszy, rozbitym nad brzegiem cichej zatoczki zwanej Czeingene Skele (Cygański Zalew). Widać teren ten nadaje się do celów wojskowych, skoro i dziś mieszczą się tam koszary wojskowe. Z wysokich brzegów można śledzić ruch łodzi i statków. Kilku konkretów ubarwiających i ożywiających nam obraz pobytu Mickiewicza dostarcza miedzioryt Jana Suchodolskiego, sporządzony według szkicu brata — Piotra Suchodolskiego, kapitana w pułku kozackim Sadyka Paszy. Miedzioryt przedstawia powrót z polowania. Mickiewicz z zarzuconą na barki peleryną siedzi na koniu, towarzyszy mu Sadyk Pasza i Henryk Służalski, ubrani w kozackie kołpaki. Z boku Sadyka galopuje ordynans Mechmed z zabitym zającem w ręku. W tle widać namioty, sztandary i krzyż połączony świętokradczo z półksiężycem.

Miedzioryt okazuje się wymowniejszy od wszystkich innych źródeł. Mówi on nam, że ostatnie dni poety były względnie spokojne, pogodne i urozmaicone. Przyczyn zaś nieoczekiwanej śmierci z tym samym powodzeniem możemy szukać w panującej wówczas cholerze jak i w malarycznym klimacie Burgas, otoczonego wielu jeziorami — siedliskami napastliwych komarów.

Mickiewicz jada prostą żołnierską strawę, śpi snem niewinnego pod płótnami namiotu rozbitego tuż obok namiotu Sadyka. Wieczorem siada z innymi w świetle zapalonych ognisk i rozmawia z Sadykiem i jego oficerami. Podczas tych uczt dawny zbójnik Mateo Raszo popisuje się mistrzowską sztuką władania bronią.

Tymczasem obowiązki wzywają Mickiewicza z powrotem do Istambułu, gdzie zaskakuje go nieoczekiwana śmierć dnia 26 listopada 1855 r. Pogrzeb odbył się w Paryżu 21 stycznia następnego roku, zaś 4 lipca 1890 roku zwłoki poety spoczęły w grobach królewskich na Wawelu. W tym uroczystym obrzędzie wzięły również udział delegacje Polaków z Bułgarii.

ŚLAD III SADYK PASZA OKAZUJE SIĘ BYĆ MICHAŁEM CZAJKOWSKIM POLAKIEM I POWIEŚCIOPISARZEM

Najbardziej koronnym świadkiem ostatnich chwil i zgonu Mickiewicza był legendarny Sadyk Pasza, którego kontrowersyjna postać była modelowana niewątpliwie wpływami epoki. A przecież to nikt inny jak Polak Michał Czajkowski. Zanim jeszcze Czajkowski poznał Bułgarię, napisał już wówczas książkę na jej temat „Kirdżeli".

Wojna Krymska, której areną stał się Półwysep Bałkański, obudziła nadzieje Polaków na wyzwolenie. Powstała idea zorganizowania polskich sił zbrojnych, które w odpowiedniej chwili rzucono by do walki z Rosją. Sprawą tą z ramienia Czartoryskiego miał się zająć właśnie Michał Czajkowski. Wkrótce zgotował on swoim mocodawcom przykrą niespodziankę, bowiem zagrożony internowaniem spowodowanym naciskiem rządu rosyjskiego na turecki, przeszedł na mahometanizm i przybrał imię Sadyka Paszy. Autorytet jego był nie do obalenia, bowiem stał za nim wierny i zdyscyplinowany pułk złożony z 800 żołnierzy: Bułgarów, Serbów, Polaków, Ormian i Żydów. Wkrótce pułk Sadyka stał się jabłkiem niezgody, albowiem obóz Czartoryskiego wyszedł z nową propozycją zorganizowania dodatkowych sił i przerzucenia ich na żołd angielski. Z uwagi na to, że oddaliłoby to ich od areny wojny, Sadyk odmówił wcielenia swoich ludzi i zaczął przygotowania do wymarszu do Azji, zgodnie z otrzymanym od sułtana rozkazem, na co pułk zaprotestował. Wkrótce do kancelarii Czartoryskiego wpłynął memoriał od polskich oficerów, donoszący o tym, że Sadyk dezerterom każe golić głowy, że ich kuje w kajdany i wydaje władzom tureckim, że w pułku panuje terror, głód, kradzieże, że brak fachowej komendy, regulaminu itd. Wobec tak ciężkich zarzutów powstała potrzeba wysłania kogoś z autorytetem, kto by sprawdził wszystko na miejscu. A któż w owym czasie cieszył się większym autorytetem niż Mickiewicz? Wystarano się więc o audiencję dla niego u Napoleona III, podczas której jako przyczynę podróży w te niebezpieczne strony podano misję literacką. We wrześniu 1855 r. Mickiewicz wsiada w Marsylii na turecki statek płynący do Istambułu.

Sadyk Pasza, który już dwa razy przelotnie zetknął się z Mickiewiczem, z tej trzeciej okazji do spotkania nie był zbyt zadowolony uważając, że poeta jest po stronie obozu Czartoryskiego. Dopiero w chwili, gdy dotarło do jego uszu, że Mickiewicz nosi się z pokrewnymi mu planami zorganizowania nowego pułku z Żydów, ujrzał w nim sprzymierzeńca. Sadyk wysłał na powitanie Mickiewicza atamana Gonczarowa z chlebem i solą, co ogromnie wzruszyło poetę. Niebawem Mickiewicz stał się świadkiem przykrej sceny wezwania obu pułków i odczytania im rozkazu, mocą którego pułk II przechodził na żołd angielski. W przeprowadzonym plebiscycie pułk I opowiedział się po stronie Sadyka, twierdząc, że swoim sumieniem wojskowym nie będzie kupczyć. Ponoć Mickiewicz miał wtedy powiedzieć: „Zostań tym czym jesteś, ja będę z tobą, trzeba żeby ten miecz naddunajski był ciągle zawieszony nad głowami naszych magnatów".

Tymczasem miecz naddunajski niewiele już miał w tej wojnie do powiedzenia, a ten, co go wzniósł, poszedł sobie dalej swoją, dziwną drogą.

ZDZISŁAWA JÓŹWIAK-JOAKIMOWA

BUŁGARIA, POLACY I PÓŁKSIĘŻYC

Przeszłość i teraźniejszość

Palant, grzebień i „Polityka"

Wzrost zainteresowania sprawami Łodzi, jaki od niedawna obserwujemy w kraju, warszawski tygodnik „Polityka" coraz częściej dyskontuje na ostatniej stronie, publikując w rubryce „Coś z życia" przeróżne kwiatki z prawdziwej bądź mniemanej oślej łączki. Tym razem, w nr 30/1972 łódzkich kwiatków znalazło się w „Polityce" trzy. Pierwszym jest... odwołanie mrożącej krew w żyłach informacyjki z nr 28, która okazała się rozbieżna z prawdą, mimo że dotyczyła Uniwersytetu Łódzkiego. Drugim, arcyświeża nowina o poważno — solennym spektaklu „Trędowatej". Trzecim... Właśnie o tę trzecią notatkę nam chodzi. Grono Politykowych wszystkowiedzów zaniepokoiło się tematem rozprawy doktorskiej, przedstawionej Wydziałowi Filozoficzno-Historycznemu Uniwersytetu Łódzkiego, który brzmi: „Wielorakie aspekty form i funkcji grzebieni z ziem polskich w starożytności i średniowieczu". Opatrzyło go więc następującym komentarzem: „Skoro Uniwersytet Łódzki gra na grzebieniu, możemy się schować z naszym słynnym palantem".

Nie wiem, na czym gra ze swej strony „Polityka", chociaż czasem mi się zdaje, że na tyleż głośnej, co fałszywie brzmiącej trąbie. Wystarczyłoby minimum wiedzy z zakresu archeologii — chodzi bowiem o pracę z tej dziedziny — i chwila zastanowienia, by dojść do wniosku, że wydrwiony temat nie jest bynajmniej tak idiotyczny, jak się to wydaje uczonym z ostatniej strony warszawskiego tygodnika. Nie znam i pewnie nigdy nie sięgnę do tekstu inkryminowanej rozprawy, ale można by przytoczyć setki tytułów poważnych prac archeologicznych, zajmujących się podobnymi z pozoru tylko błahostkami, dzięki którym nasza wiedza o najdawniejszych dziejach naszego kraju jest dziś wcale obszerna. Tylko niewiedza i tupet pozwalają na drwienie z tego, czego się nie rozumie. Spytajcie jakiegokolwiek archeologa, co wiedzielibyśmy o najdawniejszej przeszłości Słowian, o kulturze łużyckiej i jej związkach z innymi, o zasięgu ludów słowiańskich w najodleglejszej przeszłości, gdyby nie bezsensowne z pozoru badania nad kształtami wykopywanych z ziemi glinianych garnków.

Zastanówcie się, co wiedzielibyśmy o kontaktach najdawniejszych mieszkańców ziem polskich z ludami Wschodu, gdyby nie studia nad... paciorkami ze szkła. Jak przedstawiałaby się nasza wiedza, powiedzmy o epoce brązu, gdyby nie badania nad przeróżnymi ozdobami, używanymi w tamtych czasach? Te i tym podobne studia stanowią niejednokrotnie podstawę do formułowania ogólnych historycznych koncepcji, przyjmowanych przez jednych, kwestionowanych — jak to zwykle w nauce bywa — przez drugich badaczy. Ileż to stron polemik poświęcono zagadnieniom atrybucji takich czy innych naczyń, które jedni uczeni uważają za słowiańskie, inni zaś za germańskie? Niedługo po wojnie pisano wiele w literaturze naukowej o teorii wybitnego warszawskiego uczonego, dotyczącej pewnych, określonego kształtu ozdobnych szpil, występujących na ziemiach polskich. W okresie wojny posłużyła ona niemieckim propagandystom od archeologii za podstawę do... wykazywania dawności całkiem nowej kreacji politycznej hitleryzmu, mianowicie Goralenvolku. O tym chyba „Polityka" słyszała, a przecież chodziło tylko o szpilki. Prace o garnkach, szpilkach, przęślikach, butach i grzebieniach i wiele tym podobnych są ważnymi etapami na drodze poznawania dawnych kultur, po których pozostało bardzo niewiele śladów, więc te, które się zachowały, nawet najmniejsze i najbardziej bagatelne, wymagają wnikliwego zbadania. Nie tytuł rozprawy więc, nawet śmieszny dla kogoś, kto nie ma o tych sprawach pojęcia, ale to, jak rozprawa została wykonana, do jakich doprowadziła wniosków, w jakiej mierze rozszerzyła i zmieniła nasz dotychczasowy obraz danej kultury, oto co stanowi o wartości pracy. Nieuzasadnione drwienie z nierozumianych tytułów jest łatwizną w dodatku szkodliwą.

„Polityka" nie po raz pierwszy wkroczyła na tę drogę. Przypomniała dziś głośną „palantową" dyskusję, ale czy wówczas, kiedy ją wywołała, zadała sobie pytanie, czy aby temat i treść rozprawy są aż tak bzdurne, jakby się zdawało? Pewien warszawski uczony jest autorem pracy o... kurku, tym na kominie. Jest od dawna profesorem i nie wiadomo mi, by jego badania uważano za nonsensowne. Czasem więc warto się głębiej zastanowić nad tymi sprawami.

Rozumiem, że „Polityka" chciałaby tropić w nauce to wszystko, co jest w niej bezpłodne. Każdemu wiadomo, jak wiele jest prac naukowych, które są po prostu niedobre. Ale po to, aby to stwierdzić, nie wystarczy zapoznać się tylko z tytułem. Jakże często pod wspaniałym, wielce obiecującym nagłówkiem kryje się intelektualna pustka; nieraz też bywa i tak, że pod tytułem, po którym nie spodziewamy się niczego, kryje się dzieło wybitne, stanowiące ceny wkład do rozwoju naszej wiedzy. Walczmy z ignorancją, ale nie metodami ignorantów, odważnie, lecz nie z tupetem, który tak często towarzyszy niewiedzy. Słowa te dedykuję redaktorom od ostatniej strony „Polityki".

JÓZEF GRZELAK

ANDRZEJ GRUN

KRÓLOWIE SĄ NADZY

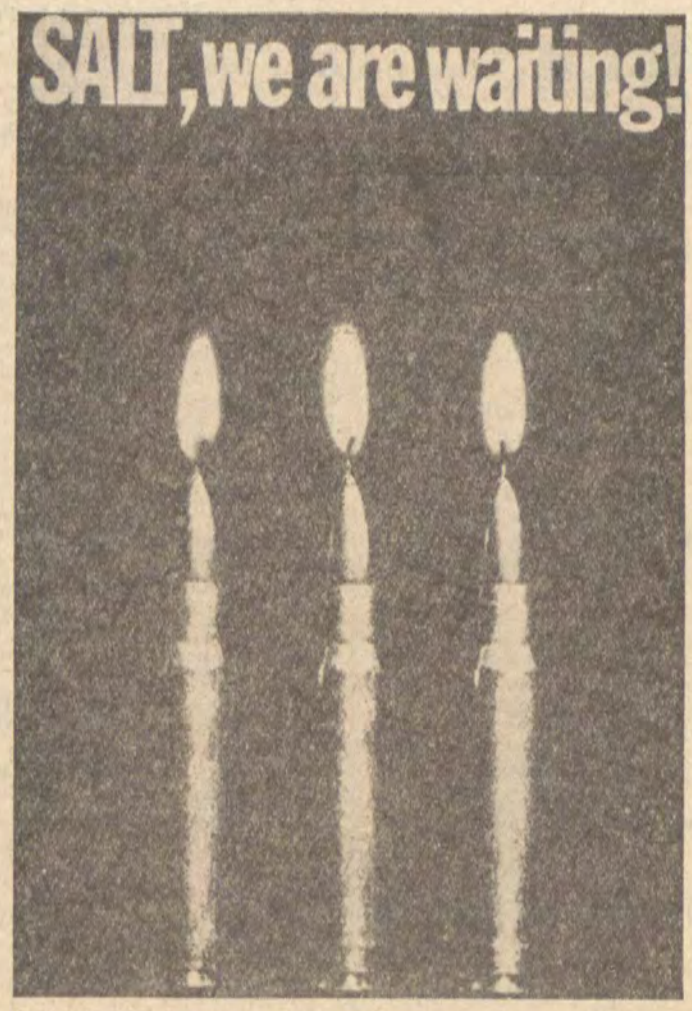

Najkrótsza recenzja z dwóch imprez międzynarodowych, z Krakowskiego Biennale Grafiki i Warszawskiego Biennale Plakatu brzmieć by mogła: **„Ładne to jest, a nawet często bardzo prześliczne"**. Oczywiście, że wymowa tego zdania może się wydać dwuznaczna, ale same ekspozycje również są co najmniej dwuznaczne. Otóż chodzi o to, że wrażeniem pierwszym, które odnosi się po obejrzeniu Grafiki i Plakatu jest odczucie, że oto znaleźliśmy się w centrum nowoczesności, gdzie perforowany pasek papieru wszystko uszeregował, zanalizował, zakomponował, zakodował, zmakietował, wydrukował...

Ludzie z obsługi przyszli i powiesili eksponaty. Analogiczne wrażenie wyniosłem łażąc po niektórych pawilonach na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Tam też otaczała, czy może osaczała mnie nowoczesność, dowody cywilizacji wysokiej i bardzo błyszczącej, kosztownej i kuszącej, eksponaty frapujące swoim kształtem i barwą, wprawiające w stan niezrozumiałego podniecenia. Zasad działania, a nawet przeznaczenia wielu z nich nie rozumiałem lub też znałem jedynie „z literatury". I w tych odczuciach moich nie było nic nadzwyczajnego. Jestem zwykłym, szarym człowiekiem, zamieszkującym obszar między Odrą a Bugiem, z techniką niewiele mam wspólnego, samochodu nie mam, lodówka psuje mi się regularnie raz na tydzień, radio „Atut" dawno przestało odbierać trzeci program, ponieważ nie ma części zamiennych, rzeka w której zwykle łowiłem ryby jest cuchnącą gnojówką, w moich ukochanych skałkach po Ojcowem dym wydusił doszczętnie zieleń drzew, na moim osiedlu, tuż pod oknem zbudowano w czynie społecznym fontannę przypominającą silos do kwaszenia zielonki, a na przystanku, gdzie codziennie wsiadam do tramwaju straszy mnie plansza-koszmar „Uważaj na jezdni". Z telewizora, który mi zresztą „śnieży" mimo dwóch anten założonych przez fachowców, dowiaduję się, iż po trzech latach intensywnych badań opracowano wreszcie recepturę kotleta schabowego z kapustą i że zarówno dyrektorzy zakładów jak i ludzie dobrej woli są zgodni w kwestii, iż rzek i powietrza zatruwać niepotrzebnie nie należy, i że niedługo Polska będzie krajem zmotoryzowanych właścicieli domków jednorodzinnych budowanych systemem koszalińsko-opolskim.

Mam więc zupełne prawo chodzić po takich na przykład Targach jak facet, który po raz pierwszy widzi na przykład morze. Mam prawo ochać i achać z rozdziawioną gębą do woli, przyjechałem bowiem na takie na przykład Targi bryczką, no, góra Ursusem i, powtarzam, mam prawo jako przynależny do gatunku polskich humanistów do wyobcowanego zdziwienia. Nie zwierzałbym się z owych odczuć (choć mam do nich prawo) bo są one nieco żenujące i bardziej powszechne niż można by sobie tego życzyć, gdyby nie fakt, iż podobne wrażenia odniosłem z pierwszego zetknięcia się z tegorocznymi pokazami Grafiki i Plakatu. Są to pierwsze wrażenia, ale dostatecznie mocne, aby o nich mówić. Zacznijmy od grafiki artystycznej. Krakowska ekspozycja jest piękna, ładna, śliczna (do wyboru). Mieni się kolorami jak ptak rajski. Wysoki połysk, galanteria i pełna nowoczesność. W ogromnej większości serigrafia, a więc technika obecnie szalenie popularna na Zachodzie, dająca wielkie możliwości zarówno w uzyskiwaniu efektów wizualnych jak i reprodukcji masowej. Jest to właściwie już nie odbitka graficzna, a rodzaj właśnie wielonakładowej reprodukcji. Wykluczone są tu wszelkie subtelności z jakimi mamy do czynienia w odbitkach technik tradycyjnych, gdzie ilość farby, docisk prasy, rodzaj i nawilżenie papieru, stopień zużycia płyty, dają odmienne efekty końcowe. W serigrafii wszystko idzie taśmowo i jednakowo. Odbitka pierwsza i setna są identyczne. A jakie kolory! Od subtelnych, malarskich zestawień po ostre, czyste płaszczyzny barwne. Nic, tylko używać. Patrzę na to jako facet sam parający się grafiką, i któremu dostępne są jedynie linoleum i cynkowa płyta, litografia na metalu i — o ile u znajomego stolarza znajdzie się kawałek suchej lipy — klocek drzeworytniczy. O papierach nie będę już mówił, bo niedługo przyjdzie nam robić odbitki na gazecie...

Może zdziwi kogoś taki kierunek recenzji, ale o wartościach artystycznych omawianych imprez padło już wiele głosów w prasie i powtarzać ich nie ma sensu. Dyskusja żadna nie rozgorzała, bo powodu nie było — bez ognia trudno o dym. Ale wróćmy do tematu. Grafika która nie była nigdy sztuką masową, przeciwnie, kierowana była zazwyczaj do wąskiego kręgu odbiorców, gdy masową się staje, wchodzi automatycznie w skład kultury masowej jak plakat czy fotoreportaż. Zmiana zasięgu oddziaływania pociąga za sobą zmiany w tonacji, zmiany w tematyce. Niestety, rzecz polega na tym, że treści nowe nie dorównują owym wymogom masowości nakładów. Rajski ptak okazuje się wypchaną atrapą. Niemniej na uroki rajskiego ptaka ludzie łapią się jak na lep. Opakowanie staje się ważniejsze od zawartości. Pokazał się u nas napój „Polo-cola" w przyzwoitej butelce. Sam napój, jako żywo przypomina syrop od kaszlu, lecz naród wychowany — jak to w dziesiątkę strzelił Janusz Osęka — na „etykietach zastępczych" kupuje ów napój bo ładnie opakowany. Handel to handel, ale w sztuce takie numery nie uchodzą. W każdym razie na dłuższą metę. Biennale Grafiki, jak Targi Poznańskie — pokazały produkcję aktualną. Tylko na Targach pokazano t o w a r a na Biennale p r o j e k t y o p a k o w a ń.

Z plakatem nie jest inaczej. Właściwie nie wiadomo dla jakich celów powstaje dzisiaj ogromna większość plakatów. Czy dla reklamy i informacji na słupach ogłoszeniowych, czy dla kolekcjonerów i amatorów „plakatu w domu". Wiele plakatów wyglądałoby na ulicy jak gość we fraku w tramwaju o szóstej rano. Z kolei konstytutywne funkcje tego gatunku sztuki buntują się przeciwko wieszaniu ich na ścianach w M-1 czy w eleganckim salonie. Druki z NRF, Szwajcarii, Holandii, Szwecji, Japonii oszałamiają jak zagraniczne wozy. Rodzima poligrafia naprzód nie idzie, a więc z wojskowa mówiąc „podaje tyłów". Owe wspaniale wydawane plakaty zachodnie powielają utarte chwyty i sposoby jeno w doskonałej formie. Niemniej ich siła oddziaływania jest znikoma. Są za piękne, za grzeczne, a treści przez nie podnoszone są stare. I spod warstwy tego blichtru, oglądający Biennale Plakatu, dopiero z dużym trudem wyławiają inne tony. Z czasem zaczyna odczuwać obecność innych dźwięków, obcych w tej pozornie niezakłóconej harmonii. To naturalnie sprawa ucha, a raczej oka.

Odkrywa się mianowicie w czasie wędrówki po salach Zachęty coś w rodzaju podskórnej rzeki — plakat istotnie zaangażowany w sprawy ważkie dla dnia dzisiejszego, rezygnujący świadomie z wszelkich chwytów estetycznych, smaczków, plakat celowo lub z konieczności wydrukowany niedbale, prymitywnie, surowo i przez to, w połączeniu z treścią jaką zamyka — groźny i krzyczący. Takie właśnie są plakaty wietnamskie, plakaty wychodzące z prywatnych drukarenek, plakaty autorskie wydawane przez poszczególnych artystów. Tematyka ich, to wojna, zagrożenie środowiska, głód itd. Jest tu trochę anarchii, trochę muzyki, związki z drukami hippiesowskimi i studenckimi, powracające bumerangi pop-artu, ostrość i dosadność sformułowań, operowanie materiałem fotograficznym jako swoistą dokumentacją.

Jest jeszcze inny aspekt tej sytuacji. Plakat szuka nowej formy i miejsca dla siebie. Produkowanie pięknych druków jest sztuką samą w sobie, a obowiązkiem plakatu jest przecież krzyczeć, łapać za klapy, zmuszać do otwierania oczu szeroko, pobudzać do śmiechu lub gniewu. **Plakat musi wywoływać reakcję.** Inaczej jest wszystkim innym a nie plakatem.

Pomysł stworzenia Muzeum Plakatu w Wilanowie mógł wpaść do głowy tylko nam, Polakom. Ponieważ swego czasu mówiąc o sztuce polskiej mówiło się tylko o plakacie, a więc dawaj — muzeum mu zrobić! A ponieważ w naszych miastach brak jest na ulicach plakatów to jeszcze tym muzeum podkreślić, że jego miejsce nie jest na słupie ogłoszeniowym. Skoro się podoba w Paryżu i Pernambuco — to pod szkło go i na piedestał. I chodzą ludzie po Zachęcie, rozdziawiają usta przed galanterią, cmokają i ukradkiem podmacują czy aby prawdziwe, a przy owych „plakatach buntu", przystają i szepcą, że pewnie im się druk nie udał, i że tego by w domu nie powiesili, (autentyczne, podsłuchane — A. G.). Smutne to. My, właściciele „polskiej szkoły plakatu" nie wychowaliśmy odbiorcy. Mamy za to cmokierów i koneserów. Pokazy Grafiki i Plakatu to, jak powiedzieliśmy, imprezy rzeczywiście efektowne, emocjonujące, barwne, to potężna dawka wizualnych wrażeń. Trudno oddzielić tu plewy od ziarna tym bardziej, że to plewy na pierwszy rzut oka, a czasem i na drugi, najpiękniej błyszczą. Wśród tego ogłuszającego dźwięku fanfar słyszy się jednak dźwięki nowe, choć ciche na razie. Jak będzie brzmiała przyszła orkiestra nie sposób w tej chwili przewidzieć.

Nie ma odwrotu

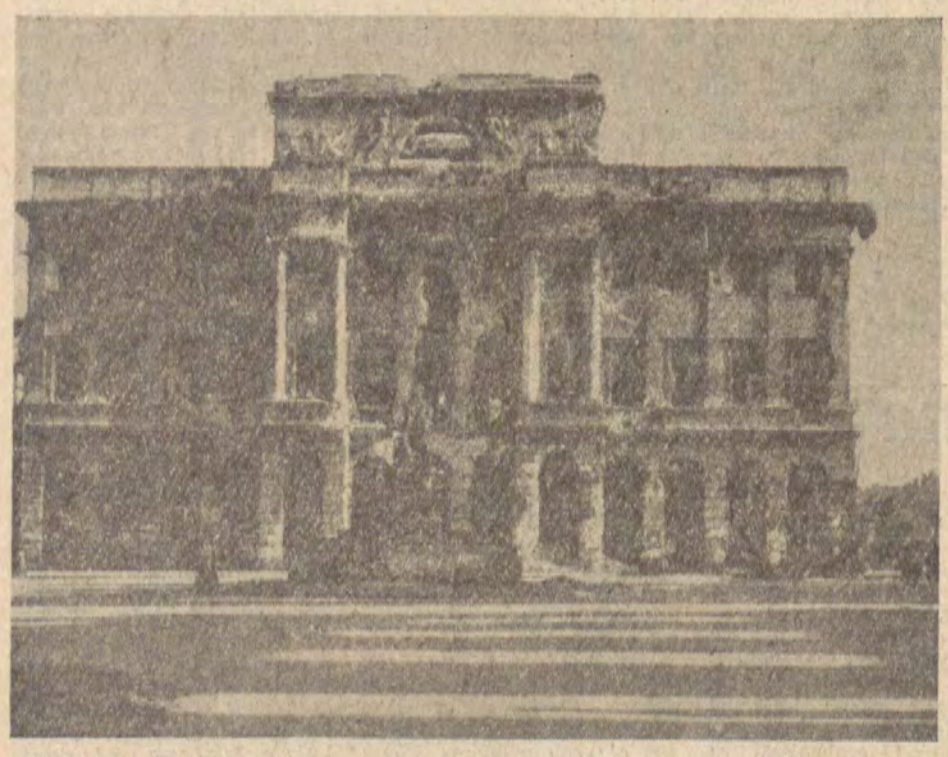

PAŁAC STASZICA W R. 1945

(Dalszy ciąg ze str. 1)

rabiny maszynowe. Nie da się nawet na krok zboczyć, trzeba dokładnie iść tam, gdzie kierują, a kierują pod pomnik Kopernika. Tu wszyscy stają ciasną i tłumną grupą. Jeszcze jakiś czas czekania — żandarmi przeglądają dom, czy się ktoś nie ukrył. Nie znaleźli nikogo. Padają gardłowe komendy. Żandarmi odsuwają się z ulicy za linię karabinów maszynowych, a Polacy zostają prosto pod lufami. W tłumie słychać płacz i głośne modły.

Tak to wygląda — przelatuje Szarakowi błyskawiczna myśl — trzaśnie, chyba nawet nie usłyszę i koniec świata. Trzeba się trzymać. T-rz-y-m-a-ć — ostatnie słowa Szarak szepcze przez zaciśnięte zęby. Jakaś dziewczyna zamknęła oczy, złapała Szaraka za ramię.

Zaterkotały karabiny maszynowe, słychać świsty kul. W tłumie rozpaczliwe krzyki, pada kilka osób. Dziewczyna pyta szeptem poprzez wargi pozbawione krwi, mocno zaciskając dłoń na ramieniu Szaraka:

— Czy już?

— Odwagi, dziecko — odpowiada Szarak takim samym szeptem i rozgląda się. Widzi, że strzały nie rażą tłumu. Padają zemdleni ze strachu. Karabiny biją wysoko — ponad głową Kopernika.

— Perfidne skur. syny — klnie Szarak.

Serie nagle milkną. Bladzi, przestraszeni ludzie, nie wierzą sobie, że jeszcze żyją, spoglądają na siebie, szukając śladów krwi. Nikt nie został nawet draśnięty..

— Zabawa kota z myszką, koneserzy — powiedział Szarak do dziewczyny i zaraz zreflektował się, że głupio robi, po co uświadamiać grozę. Zbiera myśli, aby powiedzieć coś pocieszającego, nie zdążył. Niemcy wychodzą spoza owych linii i kierują wszystkich do podcieni pałacu Staszica.

Szarak idzie i raptem całe uprzednie jego opanowanie pryska. Coś w nim woła: „Żyć, ja chcę żyć!" Rozgląda się nerwowo, szuka gdzie by można wcisnąć się, uciec, uratować się. Nie, nie ma gdzie... Lecieć wprost? Karabiny. Patrzy na duże szyby okien w podcieniach... pcha go coś, aby wcisnąć się w te szyby.

Dziewczyna łapie silnie Szaraka za ramię:

— Co z nami zrobią? Zabiją? — pyta, w oczach jej maluje się obłędny strach.

Biedne dziecko — myśli Szarak patrząc na dziewczynę — i znowu opanowuje się. Wymyśla sobie w duchu: Gadać i podniecać innych umiałeś, a sam zdychać nie potrafisz jak należy. Głośno zaś mówi do dziewczyny:

— Spokojnie, chcą nas zmaltretować, upokorzyć, przestraszyć — i tylko na tym się skończy.

Dziewczyna zwalnia ucisk ramienia Szaraka, oczy jej powoli nabierają normalnego wyrazu.

Tymczasem sceneria zmienia się. Nadjeżdżają czołgi i zatrzymują się pod pałacem. W tłum wchodzą żandarmi i wypychają pod czołgi. Wyszła pierwsza dwudziestka, zmuszona została do otoczenia czołgu wiankiem. Szarak nagle zrozumiał wszystko. „Łotry, zbrodniarze, zmaltretowali, nasączyli strachem, aby ludzie potem jak jagnięta, spokojnie osłaniali czołgi. Umieją preparować. I co dalej? Śmierć! Od naszych kul lub niemieckich. Nasi będą musieli strzelać we własnej obronie, gdy Niemcy ruszą pod taką osłoną. Będą strzelali Niemcy, jeśli uchylimy się od osłony".

Szarak został wepchnięty do drugiej dwudziestki — pod drugi czołg. Tak sformowali jeszcze cztery osłony. Osłony były stale trzymane na muszkach hitlerowców, kryjących się pod murami domów.

Pierwszy czołg, otoczony kobietami i mężczyznami, wpełzł w Świętokrzyską ku barykadzie przegradzającej tę ulicę

ROMAN ŁOBODA

Czy nasze siostry są lekkomyślne?

Komedia Włodzimierza Perzyńskiego w Małej Sali Teatru Nowego w Łodzi dostarcza wiele rozrywki; godziwej, i z morałem, nawet pouczającej. Można by ten „pouczający moral" ująć zresztą sentencją: „cokolwiek czynisz rozsądnie czyń i patrz końca". Nie dotyczy to, wbrew pozorom, lekkomyślnej siostry; ona bowiem żyjąc lekkomyślnie „rozsądny plon" z życia zebrała, nauk parę przyswoiła sobie i z błędów poprawne wyciągnęła wnioski. A również niezłą sumkę odziedziczyła po nieboszczyku, kochanku, co niewątpliwie pomogło jej na tyle poznać naturę ludzką, że w cnocie i na rodzinnym łonie żyć znowu zapragnęła.

Z natury naiwna sądziła, że kto jak kto, ale rodzina, najbliżsi — wybaczą jej płochość i sercem odpłacą za serce. Ale gdzież tam! Prawość mieszczańska nie zna kompromisów w sprawach moralności. Odtrącają więc siostrę marnotrawną. Ona wyjeżdża. Znów do Wiednia, dokąd uciekła była od męża i nadal nie chce doń wrócić. Tymczasem kochanek, stary hrabia, przyczyna Marysinych szaleństw — umiera i... zapisuje „lekkomyślnej" cały swój majątek. Do rozmiękczenia zasad czcigodnej rodzinki Topolskich przyczyniają się walnie długi hulaszczo-karciane Janka Topolskiego, najmłodszej, ale najśliczniejszej latorośli oraz długi — tej samej natury, kochanka żony pana — Henryka Topolskiego, Heleny. Przebaczają zatem lekkomyślnej, lecz bogatej siostrze i szwagierce małe potknięcia moralne widząc przyczynę złego w jej mężu, Władysławie, który nie umiał wszak dać szczęścia tak wrażliwej istocie.

Dowiadują się jednak, że Maria chcąc oczyścić się z popełnionych grzechów i w tym stanie nieskazitelności wrócić na łono szacownej rodzinki zrzekła się spadku i została czysta, ale „nagusieńka"...

— Tego już za wiele! — wykrzyknęła rodzinka.

I w istocie. Finał, jak na komedię zbyt ponury.

Wszelako reżyser przedstawienia **Jerzy Zegalski** postarał się, by chytrość mieszczańska nie triumfowała. A naiwna lekkomyślność nie została przez ludzi i los pokrzywdzona. Przeto, niezwykle delikatnie wobec Perzyńskiego sobie poczynając, a zręcznie wobec współczesności, odwrócił rzeczy porządek w myśl cytowanego już starożytnego przysłowia, że: „cokolwiek czynisz, czyń rozsądnie..." i małym zabiegiem, po prostu jednym ruchem ręki, uczynił happy end. Komedia na tym zyskała (w sensie moralnym) i widz, który, jak wiadomo, nie znosi mieszczańskiego kołtuństwa, i zawsze staje po stronie pokrzywdzonych, chociażby to były nawet lekkomyślne siostry.

Cóż za ulga. Maria podpisuje jednak podsunięty jej przez Janka czek, co przecie oznacza, że nie zrzekła się odziedziczonej po nieboszczyku hrabim fortuny. Rozumek u tej filutki ho... ho... Nie darmo parę lat we Wiedniu siedziała. Tu niby zrzekła się, a tymczasem rodzinkę zdemaskowała, sprawdziła, że nie o nią im szło, a o pieniądze.

I kto tu nie patrzał na koniec (vide przysłowie), oni czy ona? Oczywiście oni! Dobrze im tak, chytrusom!

Zapewne autor „Szczęścia Frania" i „Aszantki", byłby również niezwykle rad z takiego rozwiązania; nie przyszło mu tylko ono (rozwiązanie) za życia do głowy.

(Sprawdzam: Stanisław Szober str. 500, jest! „Coś komuś przychodzi do głowy!". Ulga. Wielka. Bo to pisze się, a ktoś bardzo inteligentny i uczony w słownikach nie poszuka lub nawet nie znajdzie, a potem pomyśli dosłownie i obrazowo: na przykład głowa leży sobie, albo wisi, a coś nie przyszło!? I po co ona leży, albo wisi, ta głowa)?

Mimo że **percepcja (?)** takiego obrazu jest dość łatwa, śpieszę jeszcze z wyjaśnieniem, że widocznie Perzyński za życia nie pomyślał o takim rozwiązaniu, co wcale nie umniejsza jego zasług, jako komediopisarza piętnującego mieszczańskie, obłudne obyczaje początków XX wieku.

Ale dość dygresji i wróćmy do meritum zagadnienia, czyli do „Lekkomyślnej siostry", która na imię miała Maria.

Otóż żarty (wakacyjne) żartami, a Maria, gdyby się nie zorientowała w rodzinnych nastrojach, to po prostu byłaby nie naiwna, ale debilna i takiej Marii Perzyński nie „namalował". W tej sprawie — mimo całego pietyzmu dla Perzyńskiego, trzeba przyznać rację Żegalskiemu. Jego odczytanie postaci Marii jest konsekwentniejsze i po prostu logiczniejsze — w świetle ostatnich doświadczeń socjologicznych i badań... psychologicznych.

Wanda Chwiałkowska w roli Marii wykazała wiele wyczucia i subtelności; była ujmująca — właśnie w koncepcji nie słodkiej idiotki, a kobiety nieco bezbronnej, ale znającej wagę kłamstwa i wagę prawdy — była bardzo naturalna i prosta w środkach ekspresji, tak właśnie jak naturalni i ujmujący bywają ludzie niezaklamani, którzy mimo to mają rozeznanie w małych (i większych) cwaniactwach. Również bardzo wiarygodna i sugestywna aktorsko była **Maria Białobrzeska** w roli Heleny, żony Topolskiego. Czy typ jaki przedstawiła nam Maria Białobrzeska, pomijając pewne obyczajowe wówczas detale, wymarł już? Z czystym sumieniem i z żalem śmiem twierdzić, że jeszcze nie i to właśnie dobitnie weryfikuje prawdziwość kreacji Białobrzeskiej.

Bardzo wzruszający, a także nieprzerysowany jest w swej roli Władysława **Adam Daniewicz**, chociaż w porównaniu z innymi postaciami mniej charakterystyczny. I znów chyba Władysław taki się wydaje, bo przez metodę przyrównywania postaci scenicznych do postaci w życiu, demonstruje typ bardziej popularny.

Zabawnie i komediowo, ale z kulturą i bez zbędnej farsowości grali: **Ludwik Benoit**, jako Olszewski; **Ewa Zdzieszyńska** — Ada i **Zygmunt Zintel** w roli Henryka Topolskiego. Miejscami mieli kapitalne zagrania Zdzieszyńska i Benoit trochę przypominający siebie z innych ról „amanckich" co raczej nie jest zarzutem.

Maciej Grzybowski — dobry w typie, jako lepszy typek; Janek Topolski. Również udane wejścia miał **Ryszard Stogowski** (Lokaj).

Przedstawienie przebiega bez dłużyzn i nudnych miejsc. Nie ma również w komedii kwestii zrobionych tanio, pod publiczkę, jakkolwiek można by polemizować z samą ideą „Małej Sceny", której nie tak dawno tyle „wiodących artystycznie" zadań przeznaczano. Nie ma się co martwić, wszystkie te rzeczy załatwi nam Grotowski.

Scenografia? Ładnie sobie mieszkali ci straszni mieszczanie. Ani jednego jelenia na ścianie, chociaż kicz staje się coraz modniejszy ostatnio. Pomijając ten drobny mankament (jeleń) scenografia Teresy Dorochy interesująca i w stylu epoki, a także dowcipna — w szczegółach.

Wanda Chwiałkowska i Adam Daniewicz

na wysokości Czackiego. Drugi — stanął na Nowym Świecie, na wprost wylotu Świętokrzyskiej, lufę działa skierował ku barykadzie zbudowanej na wysokości Wareckiej.

Ledwo pierwszy wjechał w Świętokrzyską i posunął się kilkanaście metrów, dwadzieścia osób z osłony wyrwało się spod czołgu z okrzykami: — „Bracia, nie strzelajcie!", „Niech żyje Polska!" — biegli w kierunku barykady. Niemcy spod murów i z czołgu otworzyli ogień.

Tylko kilka osób dobiegło do barykady i uratowało się. Czołg stał i ostrzeliwał polskie pozycje, lecz bez osłony nie śmiał posuwać się dalej.

Drugi czołg, jak stanął u wylotu Świętokrzyskiej, tak stał — jakby mierzył odległość i ważył siły do skoku na barykadę. Zdobycie jej nie wyglądało na łatwe; przegradzała wysoko całą szerokość Nowego Światu, zbudowana z masywnych szpul od kabla telefonicznego międzymiastowego. Szpule tworzyły jednolitą zasłonę na wysokości stycznych — około metra od ziemi, wolną przestrzeń pod i nad stycznymi wypełniały różnorodne sprzęty domowe: szafy, tapczany, nawet fortepiany. Lejtnant, dowodzący tym czołgiem, przebywał poza czołgiem, pod osłoną Polaków — pilnie lustrował barykadę, szukając jakichś słabych punktów. Nie znalazł. Postanowił zatem działem czołgowym wybić w niej wyrwy. Barykada milczała.

Lejtnant wydał rozkaz przygotowania pocisków i zwrócił się do Polaków, aby w czasie wystrzałów otwierali usta, bo inaczej mogą popękać im błony w uszach.

Troskliwy — zauważył Szarak w myślach. — Ileż to pokręceń i zagmatwań albo cynizmu jest w mentalności niemieckiej? Troskliwy, rycerski oficer, lecz jego poczuciu rycerskości nie wadzi nic, że bezbronnych ludzi używa za puklerz swej pancernej broni, i sam kryje się za nimi.

Oficer komenderował:

— Ein schüssen! — Zwei schüssen! — Drei schüssen!

Po każdej takiej komendzie gorące powietrze jak obuchem uderzało w bezradnych i zastraszonych ludzi, stojących wokół czołgu. Patrzyli, jak pociski sięgały barykady, wybijały dziury, zapalały. I widzieli też, jak powstańcy gasili, natychmiast grodzili i łatali wyrwy.

Oficer nakazał bić karabinem maszynowym, by nie dopuścić do nowego umocnienia barykady. Karabin nie pomógł, za mało był zwrotny w sięganiu celu, więc sam usiłował bić pistoletem. Ale trudno było celować zza osłony. Wysunął się naprzód, odsłonił się i strzelał.

Z barykady padł wtedy jeden, jedyny dotychczas strzał.

O chłopcze, któryś strzelił, niech się święcą twoje ręce! — mówi Szarak w myślach.

Z szyi lejtnanta wybija tętnicza krew, bije tak, że oblewa twarz i oczy dziewczyny stojącej obok Szaraka. Lejtnant cofnął się w tył i padł... Polacy odsuwają się. Z powrześniowych gruzów domu na rogu Nowego Światu i Świętokrzyskiej wylania się feldfebel i krzyczy do Polaków;

— Halt! Stać i nie ruszać się!

Poderwał leżących obok niego strzelców i wyprawił ich po oficera. Do czołgu dobiegł tylko jeden, dwóch położyły na środku ulicy strzały z barykady. Ten, który dobiegł, zakłada oficerowi osobisty opatrunek, lecz nie może zatamować krwotoku tętniczego, oficer dogorywa. Niemiec widzi, że sam nic nie poradzi, woła pomocy. Otwiera się klapa czołgu, wysuwa się z niej podoficer, ledwo się wychylił, zsuwa się do środka — kula z barykady trafiła go w ramię, na którym oparł był ciężar ciała. Jeden z leżących na jezdni także woła pomocy.

W zasięgu ostrzału barykady Niemcy nie mogą pokazać się bezkarnie na otwartej przestrzeni, wysyłają więc z komendy policji ekipę Polaków z noszami. Polacy muszą iść środkiem ulicy — barykada wtedy nie strzela, mogą spokojnie zabrać rannych i zabitego i równie spokojnie powrócić.

Szarak kończył wycieranie chusteczką twarzy dziewczyny z krwi, gdy pierwszy czołg wycofał się ze Świętokrzyskiej. Za pierwszym wycofał się drugi i następne. Z ataku na barykady nic nie wyszło.

Czołgi pozostawiły Polaków z osłony pod pomnikiem Kopernika, a same skierowały się ku Królewskiej.

Rozległy plac przy pomniku Kopernika otaczali teraz żołnierze SS-Reiter-Totenkopfstandarte. Plac stał się punktem zbornym dla mieszkańców z okolicznych domów, z których esesowcy z krzykiem, biciem i strzałami wyciągali ludzi. Były przy tym sceny nie do opisania — w kilku wypadkach z pięter ludzie wylatywali na ulicę, przypuszczalnie wyrzucani przez esesowców ciężko chorzy; do starców i chorych strzelano na ulicy, gdy szli zbyt wolno; esesmani wyrywali ludziom z rąk wyniesione rzeczy i rzucali na ulicę, rozsypując je. Zewsząd słyszało się płacz i lamenty, a najbardziej wstrząsające były przerażone oczy dzieci.

Kiedy już wszystkie domy od pałacu Staszica do Królewskiej zostały oczyszczone, esesmani uformowali ze spędzonych ludzi długą kolumnę i pognali ją Krakowskim Przedmieściem, koło Komendy Miasta, przez plac Piłsudskiego do Ogrodu Saskiego.

Ów pochód był chyba cięższy niż droga krzyżowa. Co kawałek zatrzymywano go — trzeba było patrzeć jak esesowcy podpalali domy, domy — w których tu i ówdzie pozostali jeszcze bliscy chorzy, nie wszędzie bowiem esesowcy wyrzucili ich oknami, a zabrać także nie pozwolili. Domy starannie podlane środkami zapalającymi natychmiast stawały w płomieniach...

Pochód szedł wśród płonących domów, po obu stronach ulicy. Syk i trzask płomieni wywoływał fizyczny ból serca. Sierpniowy upał słonecznego dnia i żar wielkich pożarów parzył. Pod nogami plątały się oszalałe psy, usiłujące chronić się między ludźmi przed czymś, co w ich oczach mogło wyglądać na jakiś potężny kataklizm natury. Błąkały się wśród tłumu i dzieci zagubione. Trzeba było uważać w pochodzie, bardzo uważać — bo z góry spadały palące się drewna, a na ziemi leżały porzucane coraz częściej tobołki, o które można było się przewrócić. Padali i ludzie — tych jednak natychmiast chwytali najbliżsi sąsiedzi i osłabionych prowadzili, a martwych odkładali na bok.

Z jednego dopiero co zapalonych domów wybiegł esesowski żołdak z ogromnym rapierem, w butach wallensteinowskiego rajtara, widocznie buszował w zbiorach muzealnych. Chwilę popatrzył na płonące domy, na pochód zmaltretowanych ludzi i, upojony widokiem, ruszył w podskokach jakiegoś piekielnego tańca wzdłuż pochodu, wywijał rapierem i niesamowitym głosem wyśpiewywał równie niesamowitą melodię: Tra-la-la, trala-la, tra-la-la. Esesowcy śmiali się i oklaskiwali rajtara.

— Niech pani patrzy i dobrze zapamięta tę scenę — zwrócił się Szarak do idącej obok dziewczyny — płonące miasto pełne zabytków i dorobku ludzkiego, ludzie prowadzeni jakby na rzeź i żołdak tańczący taniec zwycięstwa, którego oklaskują kamraci. Trzeba to dobrze zapamiętać, i, jeśli się stąd wyjdzie żywo, głośno i szeroko o tym świadczyć, gdyż to, co tu dzieje się, jest niejako syntezą hitleryzmu.

HENRYK DINTER

STEFAN PRAŻMOWSKI

WYŻ TOKSYCZNY

W zatrważający sposób mnożą się plagi na naszej nieszczęsnej planecie. Ostatnio mówi się dość często o szczycie narkotycznym albo raczej toksycznym, jako że miłośnicy stanów euforycznych nie gardzą również pestycydami i detergentami. Dla toksykomanów każde świństwo jest dobre byle tylko odurzyło.

Zawsze myślałem, że skuteczną barierę dla narkotyków stanowi w naszym kraju alkohol, a ściślej alkoholizm. Okazuje się jednak, że pod naporem toksycznej manii i ta bariera pęka. Co prawda ofiar alkoholu jest jeszcze w Polsce na razie więcej niż ofiar haszyszu, ale mała to dla nas pociecha. Ofiar haszyszu jest tyle co trzy lata temu było we Francji. Szkoda, że w innych dziedzinach nie jesteśmy w tak małym stopniu zapóźnieni. Może w sposób niepozorny, lecz bardzo niebezpieczny szerzy się u nas jednak narkomania. Oczywiście, jak wszystko, najbardziej zagraża młodzieży. Na 62 notorycznych nałogowców zarejestrowanych w Łodzi, 30 z nich jest w wieku siedemnastu lat, 32 ma po osiemnaście lat.

Pacjenci przychodni rekrutują się przeważnie ze środowisk hippiesów, którzy oficjalnie zwalczają alkoholizm, a nieoficjalnie uprawiają kult narkotyków. We Wrocławiu na 103 hippiesów 90 systematycznie się narkotyzowało. Jest to trochę mniej niż w USA, gdzie w ubiegłym roku za używanie narkotyków aresztowano 41 tys. młodych ludzi. Ale USA to jest w ogóle kraj wszelkich tego typu rekordów, więc nie ma się czemu dziwić. 80 proc. wszystkich przestępstw ma tam bezpośredni lub pośredni związek z narkotykami. U nas procent ten jest znacznie mniejszy. Lecz z kolei wszyscy narkomani są w Polsce przestępcami albowiem używanie narkotyków bez zgody i zezwolenia służby zdrowia jest w naszym kraju zabronione. Nie ma natomiast obowiązku leczenia. Towarzystwo, w którym ostatnio bywałem postuluje uznanie toksykomanii chorobą społeczną. Oczywiście mowa tu o Towarzystwie Higieny Psychicznej.

Znakomici lekarze specjaliści skupieni w Łódzkim Oddziale THP występują zdecydowanie przeciwko wszelkim niezamierzonym formom propagandy narkotyków, jak również ostrzegają społeczeństwo przed groźnymi skutkami toksykomanii i lekomanii. Niezależnie bowiem od tego jakiego używa się środka, efekty w psychice są jednakowe: osłabienie uczuciowości, głębokie depresje, stany lękowe itp. Następstwa na ogół są bardzo podobne do siebie. Przestrzegają również lekarzy przed zbyt pochopnym stosowaniem środków, które mogą powodować toksykomanię. Zupełnie inaczej podchodzą do tego problemu niektórzy lekarze krajów zachodnich. Grupa uczonych angielskich wystąpiła na przykład niedawno do władz z protestem przeciwko ograniczaniu sprzedaży środków narkotycznych. 16 proc. lekarzy szwajcarskich wypowiedziało się za wolnością używania narkotyków i wyborem sposobu własnej śmierci.

Rys. A. Grun

Tak więc z płaszczyzny medycznej niektórzy usiłują przenieść toksykomanię w sferę problemów filozoficznych i ideowych. Filozofia preferująca szczęście oparte na oszołomieniu marihuaną, wydaje mi się równie względna co hedonizm czy ograniczona jak eudeimonizm. Dorobienie ideologii do preparatu odurzającego przypomina mi trochę twierdzenie, że alkohol pity w miarę nie szkodzi w największych ilościach. Niemniej na bazie tej osobliwej ideologii powstała na Zachodzie Międzynarodowa Organizacja Wewnętrznej Wolności. Ironia losu albo raczej perfidia tej całej organizacji polega na tym, że nic tak człowieka nie uzależnia i obezwładnia, jak właśnie środki narkotyczne. Handlarze narkotyków w Stanach Zjednoczonych podrzucali dzieciom szkolnym gratis opium. 1 g opium kosztuje 200 dolarów. Z dzieci tych mieli się potem rekrutować ich klienci.

Nasi rodzimi narkomani nie zrzeszają się na razie oficjalnie, a jeśli już, to nie w stowarzyszenia odnowy moralnej, ale raczej w gangi przestępcze. Jedynym sposobem zdobycia narkotyków w Polsce jest bowiem ich kradzież z apteki lub fałszowanie recept. W Warszawie w ciągu czterech pierwszych miesięcy tego roku zanotowano 11 włamań do aptek. W Łodzi też zdarzyło się parę takich wypadków. Zastosowano obecnie specjalne środki. Na noc przenosi się narkotyki w bezpieczne miejsce. Oczywiście, pojawili się również handlarze, ale nie działali zbyt długo. W ub. roku zarekwirowano w Warszawie 12 kg haszyszu. Co to jest w porównaniu z Bułgarią, gdzie skonfiskowano tonę marihuany! W Oslo chyba nawet trochę przesadzono z prewencją i profilaktyką. Władze miejskie zakazały nawet hodowli kaktusów. No cóż, nic dziwnego każdy kraj broni się przed tą klęską jak umie. Nałóg jest rzeczywiście groźny i ma charakter epidemiczny.

Ufam, że Polacy nie oddadzą się w niewolę dwu nałogom naraz. Cena jaką płacimy za euforię alkoholową jest już i tak zbyt wysoka.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Należy sądzić, że szlagierem numer jeden letniego sezonu filmowego pozostanie w naszym mieście film „TYLKO DLA ORŁÓW". Powodzenie tego filmu, o którym legendy się już opowiada — udowadnia, że tzw. „wieść gminna" jest podstawowym motorem reklamy. Zwróćmy uwagę, film wszedł na ekrany właściwie nie poprzedzany hucznie jszymi zapowiedziami, nie anonsowały go również recenzje filmowe, widać Łódź ogląda go wcześniej niż stolica, w związku z tym prasa centralna jeszcze milczy. Nie generalizując sprawy, można zatem sądzić; iż udział w reklamie i popularyzacji czynników oficjalnych a więc aparatu dystrybucji z jednej strony, a krytyki filmowej z drugiej jest w zasadzie znikomy. Sprawa reklamy filmowej jest zresztą jednym z najbardziej newralgicznych punktów funkcjonowania naszej kinematografii. W porównaniu z nakładami środków na te cele w krajach świata zachodniego, u nas właściwie nic się nie dzieje. Trudno rzecz tę usprawiedliwiać mniej komercjalnym nastawieniem naszego dystrybutora, on, czyli ona (Centrala Wynajmu Filmów) też na kinie chce i musi robić pieniądze. Jeśli zaś przypisujemy naszemu dystrybutorowi zadania również i szlachetniejszej natury, które określa w jakiś sposób polityka kulturalna to i w tej dziedzinie odkrywaliśmy niejednokrotnie zaniedbania. Brak odpowiednich informacji czy reklamy położył już niejeden znakomity i jednocześnie tzw. film „dla ludzi". Przypomnijmy choćby nieszczęsne dzieje pięknego filmu „Początek", o który i na łamach naszego pisma toczyliśmy niegdyś boje.

Doceniając rolę „wieści gminnej", nie przeceniajmy jej zatem, bo losy filmów bywają niezwykle poplątane, a można je czasem prostować. Popularność czasopism filmowych tudzież rubryk filmowych we wszystkich pismach i gazetach ma jednak swe uzasadnienia i nie można lekceważyć wpływów krytyki filmowej jeśli nie na frekwencję, to przynajmniej na opinię o filmach. Nie sądzę, by tak zupełnie bez znaczenia był, podany do publicznej wiadomości fakt, że nagrodę „Skisłego Grona" dla najgorszego filmu polskiego w sezonie 1971/1972 otrzymał w Łagowie film „Szerokiej drogi, kochanie", który przecież cieszył się nie lada frekwencją.

Kino w swym szerokim zakresie jest i pozostaje rozrywką, nie utożsamiajmy jednakowoż frekwencji z gustami naszej publiczności. Próbujmy raczej wnikać w głąb tych zależności — czego szuka ona w kinie, ale i dlaczego? Nasi widzowie nie żyją przecież w izolacji od ogólnych tendencji przenikających współczesną kulturę masową, istnieją pewne wspólne trendy, którymi u nas można jednak jakoś sensownie kierować. Czy się to robi, to już jednak inna sprawa.

Te, luźno zresztą rzucone uwagi prowokuje m. in. właśnie film „Tylko dla orłów", charakterystyczny dla zasygnalizowanych tu spraw. Skąd się bierze popularność tego filmu, chyba z tego, iż zawiera te wszystkie cechy, których właśnie dziś publiczność szuka w kinie na całym świecie. Co tu dużo mówić, choć największy kryzys kina, spowodowany inwazją telewizji wiele krajów ma już za sobą, formuła wielkiego, zwycięsko konkurującego z małym ekranem widowiska filmowego jest nadal receptą prawie niezawodną. 70 mm, stereofonia, barwa, rozmach inscenizacyjny, udział wielkich gwiazd to nadal jeszcze czynniki przyciągające do kin publiczność, tego w telewizorze jeszcze się nie widzi.

Przed kilku laty „Działa Navarrony" rozpoczęły serię wielkich, przygodowych widowisk, których tłem są wydarzenia drugiej wojny światowej, film ten oparty o zdarzenia autentyczne przydał im całą awanturniczo-przygodową atmosferę, zyskując tym ogromne powodzenie publiczności, która przygody w kinie poszukiwała zawsze. W porównaniu z tamtym filmem, „Tylko dla orłów" jest zjawiskiem nieco karykaturalnym, a charakterystycznym dla mitotwórczych umiejętności kina. Z możliwości uczyniono pełne nieprawdopodobieństwo, fikcję, w którą i tak ludzie uwierzą, a jeśli nie, to i tak świetnie się zabawią, a o to przecież chodzi. Przeciw zabawie, rozrywce nikt wytaczać działa krytyki nie będzie. Niech tam sobie mity i baśnie nawet z czasów tak strasznych ludzie opowiadają. Może tak już dzisiaj trzeba, zresztą czasy te dostarczyły opowieści niezwykłych, a właśnie przygodowych, których przy biurku nikt nie wymyślił.

Cała historia eskapady alianckich komandosów jest w „Tylko dla orłów" opowiedziana znakomicie, tego nikt nie zaprzeczy. Coś innego mnie jednak w tym filmie wzburzyło, to co jest zresztą charakterystycznym trendem w światowym kinie. — straszliwe okrucieństwo demonstrowane z satysfakcją i podobnie przez publiczność odbierane. Przyjrzyjmy się pozytywnym bohaterom tego filmu, tym, z którymi się solidaryzujemy — nie ma w nich nic ludzkiego, mordują, zgoda nawet na to, muszą to robić, jeśli mają wroga pokonać. Ale morderstwo okrutne, spokojne, profesjonalne, demonstrowane z precyzją budzącą obrzydliwość stało się w tym filmie czynem pozytywnym, apoteozowanym. W dawnych przygodach filmowych walka i zabijanie zawsze istniały, były dla nich uzasadnienia, tak zresztą jak i tu, ale nie było chęci epatowania, budzenia emocji samym aktem mordowania i umierania. „Tylko dla orłów" cicho i bez reklamy wprowadza na nasze ekrany to, co w kinie światowym budzi coraz głośniejsze sprzeciwy. Nasza publiczność, tak jak każda inna, też tego szuka — dowód, popularność i ogólny zachwyt, któremu niepotrzebna reklama. Czy jednakże ten typ atrakcji i rozrywki, której moralne i wychowawcze aspekty muszą budzić wątpliwości winien stać się udziałem naszego widza? Ponawiam pytanie o mądre funkcje naszego dystrybutora i krytyki filmowej, o wnioski płynące z faktu frekwencji — w naszym kraju pytamy nie tylko o gusty publiczności, podobno pragniemy je też kształtować.

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

TP OBIEKTYW

ZLOTOWE TRANSMISJE kolejny raz, w ostatnim okresie, zwróciły oczy całego kraju na Łódź. Zlot był ogólnopolski, ale odbywał się w naszym mieście i sukces tej imprezy o wyjątkowym znaczeniu jest również sukcesem Łodzi. Tutejszych działaczy, organizatorów, młodzieży i mieszkańców, którzy niezwykle serdecznie przyjęli najlepszych reprezentantów polskiej młodzieży. Jest to również sukces łódzkiej telewizji, na której spoczywała odpowiedzialność za ciekawe, pełne, a przy tym z zachowaniem praw selekcji, informowanie całego kraju. Łódzcy kamerzyści, komentatorzy, inżynierowie transmisji, ci z ekranu i ci z ekip technicznych, wywiązali się ze swoich obowiązków na piątkę. A trzeba przy tym dodać, że większość transmisji była robiona w kolorze.

Obserwatorom łódzkiego Zlotu na długo utkwiła w pamięci transmisja z kulminacyjnego dnia, 22 Lipca. Ze spotkania młodzieży z kierownictwem Partii i Rządu, które uświetniły występy łódzkiej młodzieży, członków amatorskich zespołów z fabryk i szkół. Było to widowisko (przygotowane przez T. Szewerę i M. Wawrzkiewicza, wyreżyserowane przez Z. Kuźmińskiego) znakomicie współbrzmiące zarówno z atmosferą całego Zlotu, jak i samego spotkania z udziałem tow. Edwarda Gierka. Jego twórcom udało się doskonale pod względem formalnym połączyć w całość tak pozornie odmienne środki ekspresji jak światło, ruch, barwa, dźwięk, aplauz widzów i chwile poważnej zadumy. Był to jednocześnie teatr i balet, film i pantomima, koncert recytatorski, popis śpiewaczy i muzyczny. A przede wszystkim barwne, pełne temperamentu widowisko, którego autorem była młodość. I co szczególnie chciałbym podkreślić: twórcom widowiska udało się w niebanalny sposób, przemawiającymi do rozumu i serca środkami, przekazać te wszystkie treści ideowe i polityczne, które są żywe w naszej tradycji i którymi żyjemy na co dzień. Dali nam chwile autentycznego wzruszenia, powagę refleksji i pewność naszych racji, słuszności drogi, którą od 28 lat idziemy.

Ze Świętem Odrodzenia korespondował również **„Notes" Z. Skowrońskiego.** Mieliśmy okazję, bodajże trzeci raz obejrzeć ten spektakl. I tym razem doskonałe aktorstwo Tadeusza Fijewskiego, przy wyśmienitym partnerstwie Englerta, trzymało nas w pełnym napięciu. A nawet więcej, znając treść, rozwój akcji, pozwalało skupić się, smakować wszystkie niuanse gry.

Trudno jednak coś dobrego powiedzieć o wprowadzeniu do „Notesu". Dobry w zasadzie pomysł, rozmowa przed spektaklem z jego współtwórcami, tym razem zawiódł. Nie jest to jednak winą zasłużonego aktora. Niezawodny zwykle doc. Treugutt tym razem był kiepskim pośrednikiem między nami a człowiekiem, który zajął już trwałe miejsce w historii polskiego teatru. A tego wieczoru nie powiedział nam niestety nic ciekawego. A przecież, jesteśmy tego pewni, mogło być inaczej. Tadeusz Fijewski to nie tylko historia teatru, ale i kopalnia wiedzy o temacie. Dał tego zresztą dowody w nie tak dawnych wystąpieniach na łamach prasy.

Tak to wygląda, że wziąłem sobie na ząb telewizyjnych prezenterów, ale nie moja to wina. Znów ciekawy pomysł. Reżyser Dziedzina i scenarzysta Pietruski (jak się okazuje piszący aktor) przedstawili krótki film pt. **„Wizyta".** Podczas dyskusji, zrozpaczonej red. H. Miroszowej przedstawili drugi wariant zakończenia. Właśnie, zrozpaczonej. Było, przyznaję, nawet sympatyczne to szczere wzruszenie i zaangażowanie dziennikarki. Może nawet wartościowe jako reakcja moralna. Jednak są pewne zasady i reguły gry, nawet w najbardziej kontrowersyjnych dyskusjach. Wzruszać się, oburzać, Bóg wie co jeszcze, może zaproszony do studia gość. Zawodowy prezenter musi natomiast przedstawiać argumenty. Mogą być jego własne, subiektywne, każde inne, bo to jego prawo. Ale, podkreślam jeszcze raz, argumenty, a nie uczucia. Całe szczęście, że red. Miroszowa odwołała się do telewidzów. Mam nadzieję, że będą bardziej rzeczowi w swych opiniach.

JAROSŁAW TARNO

Fot. T. Zydler

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

„WYSTAWA KRÓLA — KRÓLOWĄ WYSTAW"

Pod takim to tytułem monachijski miesięcznik poświęcony sztuce i architekturze wnętrz „Die Kunst und das schöne Heim" zamieszcza w numerze 7-mym z br. obszerną notatkę o odbywającej się i mającej trwać do dwudziestego września, wystawie Tutenchamona w Londynie w Brytyjskim Muzeum. Tak olbrzymią frekwencją nie cieszyła się chyba jeszcze żadna z wystaw londyńskich. Setki tysięcy zwiedzających ustawia się codziennie w długiej kolejce, by po wielogodzinnym oczekiwaniu dostać się do Muzeum. Przewiduje się, że

Stolik do gry „senet"

w ciągu pół roku trwania wystawy Tutenchamona obejrzy ją około miliona osób, a może jeszcze więcej.

Ostatecznie — jak to podkreśla autor notatki — chodzi tu o nie byle jaką wystawę. Eksponowane przedmioty są najcenniejszymi jakie kiedykolwiek były wystawiane, są tak drogie, że żadne z towarzystw ubezpieczeniowych nie podjęło się gwarancji i musiał jej udzielić sam rząd brytyjski na nieokreśloną dokładniej sumę „wielu milionów funtów".

Część tych bezcennych przedmiotów, ze złotą maską mumii faraona w pierwszym rzędzie, pokazywana już była uprzednio w Paryżu, Nowym Jorku i w Tokio. W Londynie liczba eksponatów jest większa i wynosi pięćdziesiąt. Dla Anglików liczba ta ma symboliczne znaczenie, bowiem w tym roku mija właśnie pół wieku, kiedy to w listopadzie 1922 roku Anglik Howard Carter i jego mecenas Lord Carnarvon dokonali doniosłego odkycia archeologicznego — otwarcia grobu faraona Tutenchamona z osiemnastej dynastii władców nad Nilem. W nie uszkodzonym grobie prócz mumii Tutenchamona znaleziono szereg przedmiotów w stanie nie uszkodzonym. Przedmioty te mogą nas doskonale zorientować w rozwoju sztuki i rzemiosła artystycznego jakie kwitło w Egipcie około 1350 roku przed n. e.

Wśród licznych tego rodzaju wytworów znaleziono w grobie faraona m. in. pokazany na wystawie stolik o długości czterdziestu sześciu cm z blatem do gry rozrywkowej, która nazywała się „senet". Reguły jednak tej gry do dziś nie są nam znane. Stolik sporządzony jest z drzewa hebanowego i kości słoniowej.

Dodajmy, że wystawa Tutenchamona dla Londynu tym jest ważniejsza, że nie posiada on zbyt wielu eksponatów z tej epoki. Na wystawie jest zresztą tylko część znaleziska z grobowca faraona. Znaczniejsza ilość przedmiotów pozostaje w Kairze.

W STULECIE URODZIN DIAGILEWA

W tym roku mija stulecie urodzin Siergieja Diagilewa twórcy słynnych Baletów Rosyjskich Z tej okazji, dla uczczenia pamięci wielkiego choreografa została otwarta w Paryżu wystawa pamiątek.

Siergiej Diagilew urodził się w marcu 1872 roku w miejscowości koło Niżnego Nowgorodu (dzisiejsze Gorki). Jego ojciec, oficer kawalerii, interesował się żywo muzyką poważną, a do jego przyjaciół zaliczali się tej sławy kompozytorzy co Musorgski i Czajkowski.

Siergiej Diagilew od młodości interesował się sztuką i muzyką. Mając lat dwadzieścia sześć zakłada czasopismo poświęcone światowej sztuce. W latach 1906/7 Diagilew będąc w Paryżu rozwija ożywioną działalność popularyzacji sztuki rosyjskiej. Organizuje wystawy plastyki rosyjskiej, inicjuje koncerty rosyjskiej muzyki. Wielki znawca sztuki, staje się doradcą kolekcjonerów obrazów. Za jego radą Szczukin i Morozow, nabywają dzieła Moneta, Maneta, Renoira, Marqueta. W ten sposób impresjoniści francuscy szybko stają się znani w Rosji.

Diagilew obdarzony niezwykłą wrażliwością artystyczną, znawca sztuki zarówno Wschodu jak i Zachodu, potrafił odróżnić prawdziwe wartości od przejściowego efekciarstwa, ocenić trafnie rodzące się kierunki w sztuce i muzyce, potrafił w swej pracy choreograficznej dać syntezy różnych, nieraz zdawałoby się sprzecznych tendencji artystycznych.

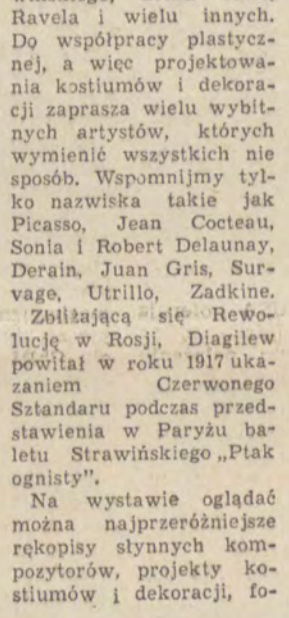

Maska pośmiertna Diagilewa (oryginalny odlew gipsowy poprawiony w szczegółach przez Brancusiego)

Od roku 1909 do swej śmierci w roku 1929, a więc przez lat dwadzieścia, Siergiej Diagilew zajmuje się głównie działalnością choreograficzną. Wystawia balety do muzyki Musorgskiego, Strawińskiego, Erika Satie, Ravela i wielu innych. Do współpracy plastycznej, a więc projektowania kostiumów i dekoracji zaprasza wielu wybitnych artystów, których wymienić wszystkich nie sposób. Wspomnijmy tylko nazwiska takie jak Picasso, Jean Cocteau, Sonia i Robert Delaunay, Derain, Juan Gris, Survage, Utrillo, Zadkine.

Zbliżającą się Rewolucję w Rosji, Diagilew powitał w roku 1917 ukazaniem Czerwonego Sztandaru podczas przedstawienia w Paryżu baletu Strawińskiego „Ptak ognisty".

Na wystawie oglądać można najprzeróżniejsze rękopisy słynnych kompozytorów, projekty kostiumów i dekoracji, fotografie tancerzy z Baletów Rosyjskich, gipsowy odlew stopy słynnego tancerza rosyjskiego Niżyńskiego i odlew gipsowy nogi równie sławnej tancerki rosyjskiej Pawłowej oraz jej pantofelki. Są tu też przedmioty osobiste samego Diagilewa, m. in. jego teczka z krokodylej skóry, zegarek, okulary, kapelusz i kilka monet radzieckich pięcio- i dziesięciokopiejkowych. Monety te podarował Strawiński Diagilewowi, ten zaś nosił je przy sobie zawsze jak talizman.

SPOTKANIA PARYSKIE

„Ilekroć bym nie przyjeżdżał do Paryża tylekroć stolica Francji dla mnie to przede wszystkim Notre-Dame. Za każdym razem, już zawczasu odczuwam radość z ujrzenia i za każdym razem wydaje mi się inną, ta dawno mi znana i lubiana przez mnie katedra. Do Notre-Dame idzie się powoli, z biegiem Sekwany, pod platanami. Te drzewa mają specjalny charakter. Wtedy były zupełnie bez zieleni, a ich mocne gałęzie swymi plastycznymi liniami nasuwały na myśl tragiczne ręce Laokona. Te drzewa stanowią swego rodzaju przepiękną uwerturę do Notre-Dame. Idzie się nią w podniosłym nastroju i nagle jakby się po raz pierwszy zobaczyło bryłę katedry.

O katedrze tej bardzo wiele już powiedziano, ale ona sama przemawia bardziej jeszcze do umysłu i serca. Czego jedynie żal, to tego, że zdjęto z niej patynę czasu, niepowtarzalną barwę omszałej zieleni. Wprawdzie sami Francuzi opowiadali mi, że dopiero teraz jest tak jak być powinno, gdyż katedra wygląda tak jak ją widzieli paryżanie sześćset lat temu. Na to chciałoby się Francuzom odpowiedzieć słusznym stwierdzeniem Wiktora Hugo, który jak się zdaje, na samym początku powieści „Katedra Marii Panny w Paryżu" zauważył, że żadna wojna i żadna rewolucja nie wyrządziły architekturze tyle szkód, jak ci, którzy ją restaurują..."

Tak zaczyna swe interesujące impresje z Paryża W. Ryndin w artykule pt. „Paryskie spotkania" zamieszczonym w 6-tym numerze z br. radzieckiego miesięcznika „Iskusstwo".

Autor oczarowany Paryżem, jego sztuką, jego zabytkami, architekturą, muzeami, skarbami kultury nagromadzonymi w tym mieście, snuje swe rozważania, dzieli się ciekawymi, nieraz zaskakującymi refleksjami. Zwiedzając Luwr zachwyca się m. in. trzema postaciami kobiet, trzema wielkimi, epokowymi dziełami jakie oglądać można w tym muzeum: Nike z Samotraki, Wenus z Milo i Gioconda. W dziełach tych powstałych przecież w różnych epokach i w różnych miejscach, dostrzega autor artykułu tę samą ciągłość ludzkiego geniuszu, a w samych postaciach symbol ludzkiego życia. Nike — mówi nam o zwycięstwie ducha, Wenus jest wiecznym początkiem życia, Gioconda zaś jego tajemniczą zagadką. W. Ryndin snuje następnie rozważania na temat poszczególnych francuskich malarzy, impresjonizmu, a nawet muzyki. Sam z zamiłowaniem rysuje i maluje architekturę Paryża i sceny z jego historii.

W. Ryndin — Francois Villon

W. Ryndin — Notre-Dame

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

NOWY WYRAZ

— STARE OBSCENA — A JAK SIĘ MŁODZI ZESTARZEJĄ? — KTO POPEŁNI HARAKIRI — CZY KONCEPCJA BYŁA POMYŁKĄ? — SOCJOLOGICZNY ŻART — PROROCZE MEMENTO — PROSTA PRAWDA SANDAUERA

W Warszawie zaczął się ukazywać miesięcznik literacki pod tytułem „Nowy Wyraz". Podtytuł czasopisma — „miesięcznik literacki młodych". Zawsze cieszy nowe pismo poświęcone literaturze — nie mamy ich zbyt wiele. Cieszy więc „Nowy Wyraz" zwłaszcza, że wydawany jest pięknie i efektownie.

Bawi natomiast, że „młodzi" z punktu, na pierwszej stronie ferują wyroki na inne pisma literackie, których tytuły — ich zdaniem — nie odzwierciedlają zawartości. Brawo! Taki gwałtowny start zawsze był przywilejem młodych. Bez względu na racje.

Co natomiast odzwierciedla „Nowy Wyraz"? Ano, woła z wierszy o „unurzaniu we własnej spermie", woła „kurewskie zolodu" — i inne takie. Nie jestem starą ciotką — niektórzy autorzy „Nowego Wyrazu" są ode mnie nieco starsi — nie gorszę się więc obscenami. Tylko, że to „wyraz" poetycki diablo stary — od Kochanowskiego, Fredry...

I co znaczy podtytuł „miesięcznik literacki młodych"? Jeden z młodych poetów powiedział niedawno, że nie można mieć zaufania do artystycznych gustów ludzi po trzydziestce. Dosłownie. Poecie temu do trzydziestki brakuje siedem—osiem lat. Co będzie, jak ją osiągnie? Popełni harakiri czy zmieni poglądy? Jak znam życie — zmieni poglądy. Co będzie z „miesięcznikiem literackim młodych" kiedy jego redaktorzy i autorzy zbliżą się do czterdziestki? Czy będzie to nadal miesięcznik aktualnie młodych czy tych, którzy młodzi byli na początku lat siedemdziesiątych? Jak znam życie będzie to pismo byłych młodych — a te nowe pokolenia piszących znów będą kołatać u władz o jakiś nowy, najnowszy, super nowy „Wyraz". I znów rzucą mięsem, poepatują publiczność i da capo — zamkną się w nowej koterii.

Jawi mi się wizja czasopiśmiennicza Polski — same miesięczniki młodych. Tych z lat czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych... i tak dalej. Fajna zabawa, tylko...

Cieszy nowy tytuł na niebogatej mapie czasopiśmienniczej kraju. Tylko, czy koncepcja „wybiegu" dla młodego pokolenia, nie była już u swych źródeł pomyłką? Przecież ostatnio najbardziej sztywnym, akademickim pismem była właśnie... „Współczesność". Światoburcze, skandalizujące pismo młodych z połowy lat pięćdziesiątych.

Czytam „Nowy Wyraz" i uczucia miotają mną sprzeczne. Podobają mi się wiersze Lucyny Skompskiej, miniatury Witolda Sułkowskiego i Jacka Bierezina (ten ostatni właśnie nie wierzy trzydziestolatkom). Ubawił mnie setnie socjologiczny szkic Jana Marszałka „Wchodzenie do środowiska", który udowadnia prawdy dość banalne, ale jest kukułczym jajem podrzuconym „Nowemu Wyrazowi". Przecież — dowodzi Marszałek — młodzi buntują się przeciw klikom, koteriom (czytaj = redakcjom, wydawnictwom) dopóki sami tam nie wejdą. Wtedy zmieniają front i wypychają z zatłoczonego tramwaju innych, którzy się tłoczą u wejścia. Szkic Marszałka w pierwszym numerze „Nowego Wyrazu" jest dla grupy „miesięcznika literackiego młodych" proroczym memento.

Otrzymaliśmy miesięcznik, który ma szanse przeżyć parę sezonów w dobrym zdrowiu. Ale „miesięcznikiem literackim młodych" ma szanse być tylko jeden sezon. Nie ma rady — takie są prawa Przemijania.

Można jednak na konto młodości epatować dziś pustosłowiem

„Nieparzysta twoja liczba — o mile boś
Stąd — a mnie grzmot okna podlewa
I kartofle gnią — poczekaj ty figlico..."

jak to robi etatowy młody twórca, któremu „księżyc uwiądł jak poetom czuj". O poecie tym — gwieździe pierwszego numeru „Nowego Wyrazu" — napisałem kiedyś dość cierpko. Potem czytałem, że jest w tych wierszach poetycka moc, że jest w poecie skrystalizowana osobowość twórcza. I już bym zapewne popadł w frustrację, gdyby nie Artur Sandauer do którego artystycznych ocen mam zaufanie, choć Sandauer dawno trzydziestkę skończył.

Otóż Sandauer powiedział o wierszach cytowanego tu autora: „Jedyne co można powiedzieć o tym wierszu, to to, że autor używa słów, których ani on, ani czytelnik nie rozumie. Zamieszczając tego rodzaju utwory redaktorzy liczą na onieśmielenie czytelników, którzy w całej pokorze ducha „się nie znają". Ale poezja nie jest dla tych co „się znają". Poezja jest w zasadzie — podkreślam to „w zasadzie" gdyż dopuszcza ona wyjątki — przeznaczona dla odbiorcy przeciętnie wykształconego" (Nowe Książki — nr 5 z dnia 15 III 1972).

Brakowało mi tej prostej prawdy w pierwszym numerze „Nowego Wyrazu".

JERZY WILMAŃSKI

DAN SONTUP

Nocny napad

Weszli tak cicho, że zauważyłem ich dopiero, gdy Nathaniel stojący za ladą szepnął:

— Niech pan się obejrzy..

Obróciłem się szybko na zydlu i znalazłem ich za swoimi plecami. Czarnowłosy, wysmukły młodzieniec i ładna blondynka w obcisłych spodniach. Przed ich wejściem barman i ja popijaliśmy piwo i rozmawialiśmy. Teraz było nas w barze czworo, goście już wyszli. Przez chwilę nikt się nie odzywał...

— Przykro mi bardzo — rzekł wreszcie Nathaniel. — Już zamykam bar.

Dziewczyna zwróciła się do swego towarzysza.

— Archibald, wybraliśmy dobry moment. Przyszliśmy ani za wcześnie, ani za późno.

Młodzieniec rozwarł w uśmiechu szeroką gębę i wystawił na pokaz żółte uzębienie, w którym brakowało dwóch zębów.

— Masz rację, Geraldino — stwierdził.

— Widzę, że nie zrozumieliście, co powiedziałem — obstawał przy swoim właściciel. — Bar jest zamknięty, musicie odejść. Bardzo przepraszam.

Blondynka uśmiechnęła się szyderczo. — Archie, słyszysz? Ten typek twierdzi, że bar jest zamknięty. Co ty na to?

— Uważam, że ma rację. Wcześniej, czy później bary zamyka się w nocy.

Nathaniel chciał wyjść zza lady, lecz kobieta wsunęła szybko rękę do kieszeni spodni wyciągając pistolet.

— Proszę się nie ruszać, ostrzegam!

Barman wytrzeszczył oczy i przerażony wyjąkał:

— Co to znaczy?... Co pani sobie myśli?..

— Proszę teraz wyjść i stanąć obok tego pana z tej strony lady! — rozkazała Geraldina.

Nathaniel spojrzał na mnie pytająco. Dałem mu znak, żeby posłuchał. Potem rzekłem spokojnie:

— Mój drodzy, lepiej, żebyście mi oddali tę zabawkę. Możecie zrobić sobie krzywdę.

— Jest pan zbyt troskliwy.

— Nie jestem uprzejmy — odpowiedziałem. — Jestem sierżantem policji.

Kobieta oparła się o ladę, trzymając nas pod celownikiem. Twarz jej wyrażała radość.

— Do diabła, Archie, słyszałeś? To jest policjant! Nasz dzisiejszy wieczór zapowiada się fantastycznie, czy nie uważasz?

Wstałem czując ciężar broni, którą dźwigałem pod pachą. Rzekłem uprzejmie:

— Czy naprawdę nie rozumiecie, że atakując przedstawiciela władzy państwowej, wplątujecie się w olbrzymie tarapaty?

Geraldina skierowała broń na mój żołądek i rozkazała zimno:

— Archibald! Odbierz mu pistolet! Na pewno ma go przy sobie.

Mężczyzna stanął za moimi plecami i przeciągnął dłonią wzdłuż mojej osoby. Znalazł to czego szukał. Zabrał mi także portfel i rzucił na ladę. Blondynka otworzyła portfel i wyjęła dowody.

— Nie kłamał — stwierdziła — jest policjantem. A teraz niech szanowny pan sierżant zamknie drzwi wejściowe od ulicy. Tylko bez kawałów, bo Archibald nie lubi policjantów.

Posłuchałem, cóż było robić! Archibald mnie pilnował z bronią w ręku. Potem wróciliśmy do lady.

Geraldina zainteresowała się bliżej moim portfelem. Zabrała stamtąd trzydzieści dolarów, następnie przeczytała głośno moje nazwisko:

— George Moran, sierżant policji...

— Zwariowaliście! — krzyknął barman. — Wiecie dobrze, co wam grozi za rozbrojenie policjanta!

Geraldina roześmiała się.

— Przecież już to zrobiliśmy.

Także Archibald wybuchnął śmiechem. Barman przyglądał im się zgorszony.

— A teraz ruszajcie! — rozkazała dziewczyna. — Szybko, do pomieszczenia za sklepem! Tam są jeszcze drugie drzwi.

Nathaniel zawahał się przez małą chwilę, a potem ruszył naprzód. I tak przenieśliśmy się wszyscy szeregiem do pokoju, który służył jako magazyn.

— Gdzie jest wyłącznik, który gasi szyld barowy? — zapytała kobieta.

— Na ścianie zewnętrznej.

Archibald przystawił mi broń między żebra.

— Sierżancie Moran! — rozkazał — proszę powoli otworzyć drzwi, wyjrzeć, czy ktoś nie idzie ulicą, następnie zgasić pan światło i wrócić do baru. Żadnych zbytecznych poruszeń, bo strzelam!

Wykonałem rozkaz bez słowa i wróciłem do wnętrza.

— Co robić, sierżancie? — zapytał Nathaniel. — Co to wszystko znaczy?

— Jeszcze pan nie zrozumiał? — szydziła Geraldina. — Niezły kretyn z niego! Chcemy pieniędzy.

— Jakich pieniędzy?

— Chodzi nam o pieniądze, które pan przechowuje w żelaznej szkatułce mieszczącej się w ostatniej szufladzie za ladą. No, prędzej, bo nam się śpieszy!

Barman zbladł i spojrzał na mnie z błagalnym wyrazem twarzy.

Wzruszyłem ramionami, dając mu do zrozumienia, że w tych okolicznościach nie mogę podjąć inicjatywy. Trudno komuś pomagać, gdy się ma przed sobą dwa wycelowane pistolety.

— Proszę to czynić, co panu każą — szepnąłem z wysiłkiem.

Wróciliśmy szeregiem do sali. Nathaniel wsunął się za ladę.

— Żelazna szkatułka — powtarzała kobieta. — Proszę położyć na ladzie, chcę ją zobaczyć.

Barman manewrował przy ostatniej szufladzie, po czym wstał ze szkatułką w ręku. Jego twarz miała wyraz matki, której wydarto dziecko.

— Proszę to otworzyć!

Nathaniel chciał wsunąć rękę do kieszeni, lecz Geraldina powstrzymała go krzykiem:

— Stop! Co pan robi?

— Chcę wyjąć klucz od pudełka — mruknął barman.

— Zrobi to ktoś inny za pana. Prędzej, Archie!

Wydobył klucz, otworzył zamek szkatułki i uniósł przykrywkę.

— Wyrzuć zawartość na ladę!

Znajdowała się tam kupa dolarów, wpływ pieniężny z całego tygodnia.

Geraldina rozkoszowała się widokiem jak w ekstazie.

— Proszę je policzyć! — rozkazała.

Nathaniel drżącymi rękami układał pieniądze. Było tego osiem tysięcy sześćset dolarów w banknotach starych i pomiętych, lecz nadających się do użytku.

— A teraz niech je pan podzieli na dwie równe części i włoży do dwóch kopert.

Właściciel baru rzucił wściekłe spojrzenie na mężczyznę i kobietę, potem wyjął z szuflady dwie duże koperty.

— Mam więc jeszcze was obdarować — jęknął z bólem.

— Tak — roześmiała się Geraldina. — Dziękujemy panu za tę uprzejmość.

Podała wypełnioną kopertę Archibaldowi, a drugą wsunęła z trudem do spodni.

— A teraz, jak grzeczny chłopczyk, niech pan wyjdzie zza lady i stanie twarzą do ściany, tam w kącie. I pan także, szanowny sierżancie, bardzo proszę...

Zastosowaliśmy się do jej rozkazu.

Gdy zobaczyła, że jesteśmy w bezpiecznej dla nich pozycji, zwróciła się do swego towarzysza:

— Archibald, zostaw sierżantowi pistolet na bufecie, już nam niepotrzebny. Wyjmij przedtem pociski.

— Oddajmy także portfel — zaproponował Archibald. — Policjant mógłby się na nas zbyt wściekać.

— Idziemy już, lecz wy od tej chwili nie macie prawa wykonać żadnego ruchu — uprzedziła nas Geraldina. — Zostańcie pod ścianą. Nie próbujcie iść za nami. Jeżeli który z was wysunie głowę na ulicę, zastrzelę go! Wolałabym, żebyście mnie do tego nie zmusili, sprawiłoby mi przykrość. W gruncie rzeczy jesteście obaj bardzo sympatyczni.

Archibald schował do kieszeni kulki z mojego pistoletu i położył broń na ladzie obok portfela. Potem obejrzał się wokoło i pchnął kobietę w kierunku pomieszczenia magazynowego.

— Żegnamy panów! — zwróciła się do nas uprzejmie. — Nie zapomnijcie o naszych przestrogach!

Za chwilę usłyszeliśmy, jak otworzyli tylne drzwi, potem zamknęli je i odjechali.

— A teraz do dzieła! — krzyknąłem.

Ruchy nasze były szybkie i zsynchronizowane. Podczas gdy ja napełniałem pistolet rezerwowymi kulami, które zawsze noszę w kieszeni, Nathaniel rzucił się do aparatu telefonicznego i nakręcił numer komendy policji, wzywając gwałtownie pomocy.

Nie tracąc czasu, pobiegłem do tylnego wyjścia i wyszedłem na dziedziniec. Mój samochód stał zaparkowany na przeciwko drzwi. W mgnieniu oka wsunąłem się do środka i uruchomiłem motor. Gdy znalazłem się na asfaltowej autostradzie, zobaczyłem, że wóz rabusiów wjeżdża w róg wielkiego zakrętu. Nacisnąłem starter i pośpieszyłem za nimi szeroką aleją.

Nie potrzebowałem jechać daleko. Zatrzymali się w gęstych krzakach. Podjechałem bliżej, mogłem ich dokładnie obserwować.

Geraldina otworzyła drzwiczki samochodu ze swojej strony, a jej towarzysz, Archibald, palił papierosa opartszy ręce na kierownicy. Wokoło panowała cisza...

Przybliżyłem się do Geraldiny. Na kolanach miała obie koperty z dolarami. Nie mówiąc podała mi jedną z nich.

— Jak się sprawiliśmy? — zapytał z niepokojem Archibald.

— Wspaniale! — odpowiedziałem. — Jak na pierwszą waszą robotę wszystko poszło cudownie!

Geraldina rzuciła mi spojrzenie pełne dumy.

— Z przyjemnością pójdziemy dalej z tobą, drogi sierżancie! — roześmiała się zadowolona.

Śmiałem się i ja, gdy wsiadałem do auta i kładłem do kieszeni cztery tysiące trzysta dolarów, moją część łupu.

Oprac. **A. S.**

Fot. W. Parys

Lewym okiem

WIOSNY I JESIENIE

Kiedy przed kilkunastu laty zaproponowałem redaktorowi jednego z istniejących do dziś, poważnych tygodników literacko-kulturalnych, artykuł o piosence, redaktor spojrzał na mnie ze zdumieniem i wielce zgorszony: panie, my jesteśmy pismem kulturalnym, piosenka to dla nas żaden temat, coś pan!

Dziś jak wiemy nie ma w Polsce ważniejszego tematu kulturalnego niż piosenka i ważniejszego wydarzenia, niż festiwal, a nawet — baczność! — Wielki Festiwal — spocznij.

W Małej Encyklopedii PWN z 1958 roku nie ma nawet takiego słowa: festival. Nie było widać ani potrzebne, ani używane, nie wchodziło w skład normatywu pojęć inteligentnego Polaka. Znalazło się dopiero w „Słowniku wyrazów obcych" Kopalińskiego, jako słowo OBCE, rzadko spotykane, niezrozumiałe bez takiego specjalnego „bryka". Według Kopalińskiego, festiwal to „okresowa uroczystość złożona z imprez (często także konkursów) artystycznych oraz spotkań, umożliwiająca przybyłym z różnych stron uczestnikom nawiązanie kontaktów kulturalnych (a niekiedy i politycznych)".

Takich okresowych uroczystości połączonych z konkursami namnożyło się obecnie tak dużo, że nie tylko nowe wydania encyklopedii będą musiały uwzględnić hasło „festiwal", ale nawet cały nasz kraj został nazwany przez pewnego felietonistę, podobno za obiegową opinią zagranicznków, „Festivallandem" — krajem festiwali. Same piosenki — iluż spotkań osób przybyłych z różnych stron są przyczyną! Jest Sopot, Opole, Kołobrzeg, są piosenki radzieckie w Zielonej Górze, festiwal piosenki studenckiej, ludowej, chóralnej, kabaretowej, zaangażowanej. Można by jeszcze wymyślić festiwal piosenki przedszkolnej, piosenki średniowiecznej, knajackiej, pogrzebowej. Nawet trzeba koniecznie coś wymyślić, bo dotychczasowe imprezy degenerują się i wypaczają. Władysław Huzik pisze wręcz o ostatnim Opolu (w „Literaturze"), że pozorna „szampańska" zabawa opolskiej publiczności była po prostu mechaniczną sztuczką techników telewizyjnych, czyli — „jeszcze jednym elementem sterowanej przez grupę cwaniaków maszynki do robienia w Polsce rozrywki i pieniędzy". Podobnie A. Rowiński w „Kulturze": „Nie ma innego powodu martwicy bujnej niegdyś imprezy prócz tego, że zdołało ją opanować kilka osób w swoim prywatnym interesie".

Złośliwi twierdzą, że nie są to wcale nowe prawdy, tyle że dopiero teraz z opóźnieniem odkryte. A może tylko z opóźnieniem ujawnione szerokiej publiczności.

Może więc zwolnimy trochę pedał, może uznamy, że nie samą piosenką żyje człowiek ludens, czyli homo żądny rozrywki? Można by festiwalować a festiwalować. Każde miasto i miasteczko chciałoby mieć coś dla siebie. Są Wiosny Kłodzkie, Opolskie, Łódzkie, jest Warszawska Jesień, nie wyklucza się Pabianickiego Przedwiośnia i Mrzeżyńskiej Zimy. Są festiwale sztuki współczesnej i filmów o sztuce współczesnej i plakatów o filmach o sztuce współczesnej. Są festiwale teatrów studenckich, teatrów jednego aktora, jednego sezonu i jednego widza. Są takie, które dotyczą gry na klawesynie, na okarynie i na waltorni z perkusją. Trochęśmy upośledzili plastyków. Należałoby pomyśleć o festiwalu malowania na szkle, korzenioplastyki, obrazów nic nie obrazujących. Albo — o, coś nowego: Festiwal Rzeźby w Serze. Objąłby oczywiście kilka specjalności: rzeźba ryta — w serze twardym,

rzeźba lepiona — w bryndzy i twarożku,
rzeźba odlewana — w serkach topionych z kminkiem,

a w każdej specjalności konkurs z nagrodami, z plebiscytem publiczności, z uroczystym bankietem finalnym, podczas którego zjada się nagrodzone dzieło....

Ponieważ tyle się mnoży tych „imprez artystycznych oraz spotkań umożliwiających nawiązanie kontaktów", słowo „festiwal" stało się jednym ze słów używanych nader często. A jest jeszcze jedno słowo, już nie tylko zbyt często używane, ale wręcz nadużywane: kiermasz. Przeważnie zresztą nie mówi się o kiermaszu zwyczajnym lub średnim, lecz od razu z wysoka — o „wielkim kiermaszu". Słowo, któremu w rzeczywistości w ogóle już nic nie odpowiada.

Rozumiem Wielkie Kiermasze Książki w okresie Dni Oświaty — to jest właśnie rzecz, pasująca do swej nazwy. Ale po co stawiać ni z tego ni z owego nędzny straganik na skraju chodnika i wieszać na nim transparent: „Wielki Kiermasz Artykułów Kosmetycznych"? Na straganie nie ma ani ćwierci tego, co się kupuje w najlichszym sklepiku z kosmetykami, bez transparentów i bez żenującego humbugu. Są już kiermasze warzywne, gdzie kupuje się kartofle i chrzan, kiermasze pasmanteryjno-guzikarskie, bielizny przecenionej, wyrobów gumowych, odzieży dziecięcej. Każdy z nich polega na wywieszeniu transparentu, poza tym naprawdę nic się nie dzieje. To jest nudna, irytująca, niemądra pompomania, zastępująca jakąkolwiek skuteczną, sprawdzalną inicjatywę handlu w kierunku urozmaicenia i uatrakcyjnienia form sprzedaży.

Strach pomyśleć, co będzie, kiedy w jakimś powiatowym mieście, podczas uroczystej Wiosny tego miasta, zorganizowany zostanie Wielki Festiwal Kolejarskich Orkiestr Dętych, połączony z Wielkim Kiermaszem drobnej galanterii. Miasto od tego wielkim się nie stanie, a jego mieszkańcy może nawet i niczego nie zauważą?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Karol Badziak, Konrad Frejdlich, Roman Łoboda, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1817. D-7.